● SIOSTRA ANNA ● SMUTEK ADIUNKTÓW ● BYŁEM SPEKULANTEM ● POBITY W HRUBIESZOWIE ● ROZWAŻANIA G. L. SEIDLERA ● JAN I BAZYLI ● ŁAGROWE OPOWIEŚCI ● PROGRAM TV ●

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

TYGODNIK WSCHODNI

# relacje

LUBLIN, 18-24 V 1989 R. NR 18 CENA 70 ZŁ

# TY I TAK WYGLĄDASZ NAJDOSTOJNIEJ

Ewa Czerwińska

ANNA Ostrowska-Boruszewska: — Nazywał się Maciek Jarosiński. Śliczny był chłopak. Żołnierz AK. Przed wojną — student KUL. Myślałam sobie: on taki piękny i mądry, a ja? Zwyczajna siostra czerwonokrzyska. Gdzie mi do niego? Nawet nie marzyłam: ożeni się czy nie. Ja go po prostu bezgranicznie kochałam. W drugim roku wojny ziemia się pode mną zapadła; Maciek nie wrócił z akcji. Przez całą wojnę nosiłam kwiatki na kirkut, bo myślałam, że tam go zastrzelili. W 47 czy 48 roku dowiedziałam się, że Czerwony Krzyż będzie przeprowadzać ekshumację zbiorowej mogiły rozstrzelanych w Bogucinie. Czułam, że muszę tam jechać. I pojechałam. Stanęłam nad grobem, w nogach i czekam. Zaczęli odkopywać. Łopaty stuknęły o kości. Nagle zobaczyłam buty narciarki, w takim tabaczkowym kolorze, i sweter bordo... Byłam pewna: to Maciek. Poprosiłam, żeby przestali kopać. Uklękłam i sama zaczęłam odgrzebywać zwłoki rękami. Żeby niczego nie uszkodzić. Najpierw odgrzebałam ręce. Kości rąk skrzyżowane w nadgarstkach kolczastym drutem. Potem twarz. Czaszkę bez twarzy, zasnutą cienkimi pasmami długich włosów, jak pajęczyną. I więcej nic. Tylko kości. Nie czułam żadnego strachu ani obrzydzenia.

TA opowieść powinna zacząć się wcześniej. 24 sierpnia 1939 roku, kiedy to już wyraźnie czuć było rychłą wojną. Tego dnia Anna Ostrowska dostała kartę mobilizacyjną, aby, jako pielęgniarka czerwonokrzyska, zgłosiła się natychmiast do punktu przy ulicy 3 Maja. Z byle jak spakowaną walizką wyruszyła z mieszkania rodziców przy Kunickiego, dumna, że idzie na wojnę i że będzie pomagać ludziom.

Wojna nie zwlekała. 1 września walnęła pierwsza bomba. Kilka dni później z budynku, w którym mieściło się ambulatorium, została tylko ściana, a do niej przyczepiony szpilką ryngraf Anny — rodzinna pamiątka.

Dwa tygodnie września Anna spędziła na dworcu, w punkcie sanitarno-żywieniowym dla wędrujących żołnierzy, rannych i głodnych. W końcu pierwszego miesiąca wojny dostała powołanie na wschód, ale nawet do Bugu nie dojechała, bo w pociąg trafiła bomba. Została bez walizki, bez przydziału, w jednej tylko bluzie i obszarpanym fartuchu. Napotkani w pobliskiej wsi oficerowie namawiali do wędrówki za granicę, do Rumunii. Anna pomyślała: potrzebna będę ludziom tu, w Polsce. Na drodze do Lublina kłębiły się tłumy podróżników, próbujących zaszyć się gdzieś z dala od bomb i przeczekać jakoś tę wojnę. Na piechotę lub przygodnymi furmankami, raz z dwunastoma Żydami z Piask, którzy wtedy jeszcze nie wiedzieli, że jadą po swoją śmierć, dokołatała się Anna do Lublina. I znów ambulatorium, tym razem przy Niecałej, później Buczka. W 40 roku wiadomo już było, że wojna nie będzie tylko krótkim epizodem. Personelowi czerwonokrzyskiemu wstrzymano wydawanie zapomóg w gotówce i naturze. Pracował za dobre słowo.

„Deleguję Panią do ambulatorium kolejowego PCK celem pełnienia zastępczo obowiązków pielęgniarki. Zamelduje się Pani u Dr. Malczewskiego, kierownika ambulatorium, we wtorek dn. 8 X o godzinie 8 rano". Data: 7 października 1940 roku. W podpisie: „Ludwik Christians, prezes Zarządu Oddziału PCK w Lublinie".

Anna Ostrowska przechowuje ten dokument jak cenną pamiątkę. Podobnie wiele innych poleceń służbowych, meldunków, które dokumentują jej wojenną, czerwonokrzyską misję. 8 października 40 roku Anna znów jest w dworcowym ambulatorium. Przyjmuje zgłodniałych, zagubionych, rannych. Ma dla nich chleb, kawę, cukier. Pomaga jej kilkunastoletni harcerz Jurek. Pamięta zimowy poranek i innego chłopaka, którego esesmani wyprowadzają z piwnicy. Chłopak, nędznie ubrany, kuli się z zimna, głodu i strachu. Ostrowska, nie namyślając się długo, wyciąga z torby własne śniadanie — parówkę i butelkę mleka. Biegnie z tym do esesmanów i pyta — czy pozwolą dać więźniowi. Niemcy są wspaniałomyślni. Pytają tylko — z jakiego ta pomoc ramienia. Aaa tam! — udaje lekceważenie Ostrowska. — To takie głupie kobiece serce...

— Biedak najadł się przynajmniej. Może ostatni raz przed śmiercią — mówi dziś, w piękny kwietniowy dzień, prawie pięćdziesiąt lat później.

— Miała pani wtedy dwadzieścia lat. Chciała pani żyć...

— Nie myślałam o śmierci. Byłam odważna. Teraz wszystkiego się boję. wszystko mnie przeraża. O inną Polskę walczyłam. Nie o taką, w której tyle niesprawiedliwości i biedy. Wie pani, co mówi Kinga? Ona pyta: mamusiu, kiedy ja się wreszcie najem tej szynki do syta?

— Wtedy był głód...

— Był głód, proszę pani, ale ludzie jakoś bardziej się szanowali, jeden drugiemu pomagał w biedzie, głowę nadstawiał. Była ta jedność. A ja kochałam ludzi i chciałam im służyć. Majątku na tym nie zbiłam. Widzi pani, co mam: stare mieszkanie, po ciotce, stary telewizor, starą szafę... Nawet łazienki nie ma, tylko wygódka. Może niepotrzebnie o tym mówię...

Dokończenie na str. 10

„Gdybym miał przeżyć jeszcze jedno życie, też bym malował" str. 8—9.

Repr. Waldemar Stępień

# relacje ZE ŚWIATA

■ WYDARZENIEM — i to nie tylko bieżącego sezonu politycznego — jest spotkanie sekretarza generalnego KC KPZR Michaiła Gorbaczowa z chińskim przywódcą Deng Xiaopinglem, do którego doszło 15 bm. Wiele wskazuje, iż oznacza to kres 30-letniego konfliktu między obydwiema potęgami.

■ DOPIERO przy okazji rozmów o rozbrojeniu dowiadujemy się — i to fragmentarycznie — jak potężne arsenały z bronią zgromadziły poszczególne państwa. Oto 40 000 czołgów zamierza zlikwidować do 1997 r. Układ Warszawski. Natomiast w najbliższym czasie Związek Radziecki „złomuje" 500 pocisków taktycznych, przystosowanych do przenoszenia głowic jądrowych.

■ LECH WAŁĘSA został laureatem europejskiej Nagrody Praw Człowieka. Jest to nagroda Rady Europy (organizacji zrzeszającej 23 kraje zachodnioeuropejskie); ustanowiona została w 1980 r. i jest przyznawana co trzy lata. Wręczenie odbyło się w Strasburgu.

■ LICZEBNOŚĆ POLSKIEJ EMIGRACJI szacowana jest na 13 mln; większe skupiska polonijne znajdują się w 32 krajach. Najnowsza emigracja — po 1980 r. — szacowana jest na ok. 750 tys. osób.

■ WŁAŚCICIELE WINNIC W RFN, jeżeli wykażą brak siły roboczej w swojej okolicy, otrzymają zgodę ambasady RFN w Warszawie na sprowadzenie z Polski robotników sezonowych — informuje „Frankfurter Allgemeine Zeitung" Gazeta wskazuje na Polaków, gdyż — jej zdaniem — za tak niskie stawki inni obcokrajowcy nie zechcą pracować.

■ RZĄD SZWEDZKI wyasygnował (na początek) 1 milion koron na oczyszczenie Wisły z różnego rodzaju trucizn, które — via Bałtyk — docierają do brzegów Skandynawii. Dalej: Szwedzi skłonni są zamienić część naszych wobec nich długów na inwestycje w dziedzinie ochrony środowiska — naszego!

■ TRZY CZWARTE CZECHOSŁOWAKÓW, opowiadających się za przebudową, ma zastrzeżenia do ludzi, którzy ją organizują, czyli do osób na kierowniczych stanowiskach w Czechosłowacji.

■ SYSTEM KARTKOWY w Związku Radzieckim rozszerza się — alarmują „Moskowskoje Nowosti". Kartki wprowadzane są w miastach, w których jeszcze niedawno zaopatrzenie było nie najgorsze; przykładem — Moskwa.

■ W LENINGRADZIE, w jednej z jadłodajni, wydawane są bezpłatne posiłki. Ma to poprawić sytuację wielu najniżej uposażonych osób, które — jak twierdzi miejscowa organizacja społeczna „Miłosierdzie" — bardzo często głodują.

■ SIŁA NABYWCZA jugosłowiańskiego dinara maleje o 0,7 proc. dziennie, a poziom życia mieszkańców — jak się szacuje — osiągnął stan z lat 60.

■ NA FESTIWALU w Cannes (rozpoczął się w ub. tygodniu) kinematografię polską reprezentuje — zrealizowany we współprodukcji z Francuzami — najnowszy film Jerzego Kawalerowicza, opowiadający o ostatnich dniach Napoleona. Komisja kolaudacyjna uznała ten film za znakomity, poczekajmy na werdykt jury...

# relacje Z KRAJU

■ KANDYDATÓW NA POSŁÓW I SENATORÓW oraz ich „sztaby wyborcze" opanowała gorączka, a w niektórych przypadkach i amok, o czym świadczy choćby przykład Słupska, gdzie w lokalu miejscowego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" odkryto urządzenia podsłuchowe, jak dotąd „niewiadomego pochodzenia". Dochodzenie prokuratorskie — miejmy nadzieję — wskaże autorów tego rodzimego i żałosnego „Watergate".

Gorączka i nerwowość jest wprost proporcjonalna do liczby i rangi kontrkandydatów. W Warszawie o trzy miejsca w Senacie walczą 32 osoby, a w Lublinie do dwóch senatorskich foteli pretenduje 12 panów. Konkurencja do miejsc w Sejmie jest mniejsza, ale przecież też trzeba będzie skreślać. Przykład lubelski: o ten sam „bezpartyjny" mandat ubiegają się m.in. Ryszard Bender, będący jedną z większych indywidualności bieżącej kadencji Sejmu i Tadeusz Mańka, który dla swoich zasług i przymiotów kandyduje z listy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność". Odpowiedzi na te i inne rozterki dostarczyć mogą odbywające się właśnie spotkania z kandydatami.

Państwowa Komisja Wyborcza opublikowała tzw. krajową listę wyborczą. Wśród 35 nazwisk czołowych działaczy politycznych, społecznych i gospodarczych nie ma Wojciecha Jaruzelskiego. Jak podano, kandydować on będzie na urząd prezydenta.

■ RADA MINISTRÓW przyjęła projekt ustawy o abolicji (przebaczaniu i puszczeniu w niepamięć) „wobec występków i wykroczeń po 31 sierpnia 1980 r.". Ta forma rozliczenia się z przeszłością, w tym z okresem stanu wojennego, spotkała się z protestem tych, którzy zamiast „wybaczenia" oczekiwali rehabilitacji.

■ W WYNIKU USTALEŃ przyjętych przy „okrągłym stole" do Sejmu wpłynęły trzy rządowe projekty o zmianie ustaw: Prawo prasowe (dotychczasowe koncesjonowanie działalności wydawniczej i prasowej zastąpione ma być rejestracją); Ustawa o kontroli publikacji i widowisk (rozszerzony ma być katalog publikacji i wydawnictw, które nie są poddane kontroli cenzury; zniknąć ma również obowiązek ewidencji urządzeń kserograficznych) oraz Prawo celne.

O ile legislacyjnej stronie naprawy Rzeczypospolitej rokować można powodzenie, o tyle obszar materii niesie większe kłopoty. Rada Ministrów wyliczyła, że koszt wprowadzenia w życie ustaleń „okrągłego stołu" podwyższy deficyt budżetowy o prawie 5 bilionów zł, a wydatki na import o 1,75 mld dolarów.

■ DO MINISTRA SPRAWIEDLIWOŚCI skierowany zostanie wniosek o zniesienie — obowiązującej od lat czterdziestych — tzw. maksymalnej normy obszarowej dla indywidualnych gospodarstw rolnych. „Kułaczyć" tym samym będzie można na dowolnej liczbie hektarów.

■ WARTOŚĆ TOWARÓW zwróconych z zagranicy z powodu złej jakości wyniosła w ub. roku 4,5 mld zł i była o 66 proc. wyższa niż w 1987 r. Wśród bubli znalazło się ponad 10 tys. koszul męskich i 73 tys. par obuwia. Stały się one natychmiast atrakcją dla „krajowców".

■ W USTCE powstanie pierwsza w Polsce strefa wolnocłowa, co zapowiada przygotowany już projekt rozporządzenia Rady Ministrów w tej sprawie. Wśród ośrodków ubiegających się o ulokowanie na ich terenie strefy wolnocłowej lub specjalnej strefy ekonomicznej (SSE) znajdują się — z dużymi szansami — Małaszewicze (woj. białskopodlaskie).

■ ULGI CELNE na samochód przywieziony z zagranicy przewidziano dla tych, którzy zrezygnują z odbioru „czterech kółek", należnych im w wyniku przedpłaty.

■ AMBASADA AMERYKAŃSKA poinformowała, że opłata za wizę upoważniającą do wjazdu do USA wynosi 16 dolarów lub — zamiennie — 60 800 zł.

■ LUCELIA SANTOS I RUBEN DE FALCO, czyli Isaura i Leoncio, wkrótce na naszych ekranach! Telewizja Polska zakupiła kolejny serial brazylijski, opowiadający o czarnych niewolnikach.

# relacje Z REGIONU

■ TRWA AKCJA STRAJKOWA ROLNIKÓW. W Piaskach Szlacheckich odbył się wiec protestacyjny, w którego trakcie domagano się spełnienia przez stronę rządową postulatów, m.in. umorzenia pierwszej raty podatku (w związku z poniesionymi przez rolników stratami) oraz ustalenie jego wysokości na ubiegłorocznym poziomie. Krajowa Komisja Protestacyjna Rolników Indywidualnych postanowiła, że akcja protestacyjna (sprowadzająca się do niepłacenia podatku) trwać będzie do czasu spełnienia postawionych żądań.

■ MIESZKAŃCY bloku - molocha przy ul. Radzyńskiej 10 w lubelskiej dzielnicy Czechów zawiesili płacenie czynszu. W oficjalnych pismach i ulotkach domagają się usunięcia skutków wielokrotnych awarii instalacji wod.-kan. i zapobieżenia następnym, zaprzestania trwonienia pieniędzy spółdzielni i rozliczenia się z ich wydatkowania. „Żądamy — piszą spółdzielcy — by traktowano nas nie jak bezwolną, niezorganizowaną masę, lecz jako ludzi myślących, współgospodarzy".

■ „DUCHOWY TESTAMENT KS. KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO" — to temat czterodniowego sympozjum, jakie odbyło się w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Imię kardynała Stefana Wyszyńskiego nadano uroczyście auli KUL, mieszczącej się w nowym skrzydle uczelni. Odsłonięcia pamiątkowej tablicy dokonał kardynał Józef Glemp.

■ STANISŁAW JACEK MAGIERSKI — to jedna z piękniejszych postaci Lublina pierwszej połowy naszego stulecia. Urodził się w 1904 r.; w Uniwersytecie Warszawskim (w 1927 r.) uzyskał stopień magistra farmacji, zaś znajomość chemii zdobył drogą samokształcenia. Jego fabryczka perfum miała ogólnopolską renomę. Interesujące rezultaty osiągał jako malarz i fotografik, lecz jego prawdziwym — choć nie do końca spełnionym — powołaniem była muzyka.

W czasie okupacji jako żołnierz AK pełnił funkcję zastępcy szefa Biura Informacji i Propagandy; swoje mieszkanie przeznaczył na cele konspiracyjne. W czasie okupacji i po wyzwoleniu był więźniem lubelskiego Zamku. Zmarł, przedwcześnie, w 1957 r.

Stanisław Magierski — co brało się z jego skromności — nie podpisywał swoich kompozycji, nie składał autografu na obrazach. Dopiero po wielu latach okazać się miało, że popularną do dziś „Kołysankę leśną..." („Dziś do ciebie przyjść nie mogę...") napisał w 1943 r. właśnie Magierski, dedykując ją oddziałowi AK pod dowództwem „Nerwy".

Imię Stanisława Magierskiego przyjął ostatnio, obchodzący dziesięciolecie, chór ZBoWiD, działający w dzielnicy „Dziesiąta".

■ ZABRAKŁO CHLEBA w lubelskich sklepach. Przyczyną strajk pracowników I oddziału PTHW. Piekarze rozważają możliwość zatrudnienia innego przewoźnika.

■ MILION ZŁOTYCH zebrany przez lubelskich kwestarzy PCK trafi do ludzi potrzebujących pomocy.

■ PRZEPOWIEDNIE GŁOSIŁY: czym bliżej sezonu turystycznego, dolar będzie drożał. A tymczasem cena jego powoli spada. W państwowych kantorach (rzecz dotyczy całego kraju) sprzedać go można za 3600 zł, zaś przy zakupie 3950 zł (bony odpowiednio: 3500 zł i 3700 zł). U „koników" w Lublinie w ub. tygodniu za dolara płaciło się 3650—3700 zł.

Oczywiście, na tej przedziwnej giełdzie każdy dzień może przynieść zaskakujące zmiany.

■ BIURO „POLRES" oferuje wynajem wagonów salonowych. Dotychczas „salonki" były użytkowane tylko przez prominentów. Koszt wynajęcia wagonu z Lublina do Warszawy 88 tys. zł.

Opracował:
**Zbigniew Miazga**

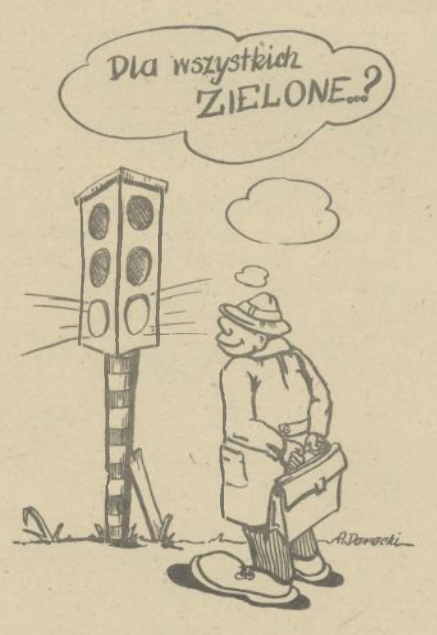


**Rys. Arkadiusz Derecki**

## XVIII NAŁĘCZOWSKIE DIVERTIMENTO (20—24.05)

20.05 godz. 16 (Kościół Parafialny): „Mesjasz" (skrócona wersja) G. F. Haendla. Wykonawcy: orkiestra i chór „Capella Cracoviensis" pod dyrekcją Stanisława Gałońskiego. Elżbieta Towarnicka (sopran), Jolanta Michalska (mezzosopran), Marek Krzywoń (tenor), Józef Frakstein (bas). Słowo — Stefan Münch.

21.05 godz. 16 (sala balowa Pałacu Małachowskich): recital gitarowy José Maria Gallardo del Rey (Hiszpania). Słowo — Teresa Księska.

22.05 godz. 19 (Kościół Parafialny): „REQUIEM" G. Fauré. Wykonawcy: orkiestra PFL i Chór IWA UMCS pod dyrekcją Adama Natanka, Danuta Damięcka (sopran), Andrzej Hiolski (baryton), Lucjan Jaworski (przygotowanie chóru). W programie również — Aria na strunie G z III Suity J. S. Bacha w opracowaniu Wilhelmiego.

23.05 godz. 16 (sala balowa Pałacu Małachowskich): Ballady F. Chopina, utwory Schuberta, Liszta, Moniuszki, Karłowicza w wykonaniu Pawła Skrzypka (fortepian), Andrzej Hiolski (baryton), Maciej Paderewski (fortepian). Słowo — Henryk Schiller.

24.05 godz. 16 (sala balowa Pałacu Małachowskich), godz. 19.15 (sala PFL w Lublinie): „Moje fascynacje" — recital Mariana Opani. Fortepian — Wojciech Kaleta. W programie utwory: J. Brela, M. Hemara, W. Wysockiego, J. Tuwima, M. Twaina, M. Wolskiego.

**(A. W.)**

# PANEL „RELACJI": ADIUNKCI

ADIUNKCI to najliczniejsza grupa wśród pracowników naukowych w wyższych uczelniach: stanowią od trzydziestu kilku (uniwersytety) do blisko sześćdziesięciu (szkoły artystyczne) procent kadry naukowo-dydaktycznej. Cztery lata temu wprowadzono zmianę do ustawy o szkolnictwie wyższym z 1982 r., która przewiduje, że ci adiunkci, którzy zostali mianowani przed rokiem 1982 i nie habilitują się z końcem września 1991 r., zostaną zwolnieni z uczelni bądź przeniesieni na inne, niższe stanowisko.

Mam przed sobą parę dokumentów, które wskazują, że nie jest to problem wyłącznie kilku tysięcy doktorów, którym grozi zmiana pracy. Oto np. „Stanowisko Wydziału Nauki, Oświaty i Młodzieży Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie": „Jednorazowe odejście z uczelni grupy pracowników, stanowiącej, w zależności od uczelni, od 25 do 40 procent ogółu nauczycieli akademickich, złożonej z osób o wysokich kwalifikacjach naukowych i pedagogicznych, na których spoczywa obecnie główny ciężar pracy dydaktyczno-wychowawczej, spowoduje trudne do przewidzenia perturbacje w funkcjonowaniu uczelni".

A oto kilka liczb z interpelacji posła na Sejm PRL, Andrzeja Szpringera (i zarazem pierwszego sekretarza KW PZPR w Lublinie), którą złożył ministrowi Edukacji Narodowej, Jackowi Fisiakowi 3 marca br.:

Cztery państwowe uczelnie wyższe w Lublinie zatrudniają 1314 adiunktów — co stanowi 43,5 proc. ogólnej liczby nauczycieli akademickich.

— 70 proc. tej liczby, czyli około 920 adiunktów, to osoby zatrudnione na tym stanowisku przed rokiem 1982,

— na przestrzeni ostatnich trzech lat uzyskiwano w tych uczelniach rocznie od 25 do 30 stopni naukowych doktora habilitowanego, co oznacza awans naukowy tylko 2—3 proc. ogólnej liczby adiunktów.

Zakładając nawet podwojenie liczby habilitacji w latach 1989—1990, stopień naukowy dr. hab. może uzyskać nie więcej niż 100—150 adiunktów. Tak więc w latach 1990—91 rotacja obejmie ok. 800 adiunktów, czyli 1/4 wszystkich nauczycieli akademickich tych czterech uczelni. W kolejnych zaś 2—3 latach dotyczyć może 250—300 adiunktów, którzy zostali powołani na to stanowisko w latach 1982—84.

Zaś w „Stanowisku Egzekutywy Uczelnianej Organizacji Partyjnej w Politechnice Lubelskiej" stwierdza się m.in.:

„Stan zagrożenia podstawowych funkcji szkół wyższych powstał z poczucia zagrożenia przez grupę adiunktów stanowiących ok. 40 proc. ogółu kadry. Na tej grupie pracowników spoczywa podstawowa część obowiązkowych zajęć i prac, a w atmosferze zagrożenia rotacją nie mogą być wykonane należycie".

Do dyskusji na ten ważny temat zaprosiliśmy czterech pracowników naukowych z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej: rektora UMCS — profesora doktora habilitowanego **Zdzisława Cackowskiego**; docenta doktora habilitowanego **Artura Korobowicza**, kierownika Zakładu Historii Państwa i Prawa i jednocześnie sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie; oraz dwóch adiunktów: doktora **Stefana Müncha** z Zakładu Historii Literatury Polskiej i doktora **Adama A. Witusika** z Zakładu Historii XVI—XVIII wieku (środowisko uniwersyteckiej „Solidarności" odmówiło udziału w panelu). Zadawał pytania, obsługiwał magnetofon i spisał z taśmy: Andrzej W. Pawluczuk.

Od lewej: prof. Zdzisław Cackowski, dr Stefan Münch, dr Adam Witusik, doc. Artur Korobowicz.
**Fot. Waldemar Stępień**

**Redakcja: — Proszę panów, jak przedstawia się problem adiunktów na UMCS?**

**Prof. Cackowski:** — W uniwersytecie pracuje w tej chwili około 630 adiunktów, 230 profesorów i docentów oraz przeszło 400 asystentów i stażystów. Ci adiunkci, którym wypada zakończenie pracy w roku 1990 lub 1991, otrzymali ode mnie pismo, że jeżeli do tego terminu nie zostanie wszczęty przewód habilitacyjny, wszczęty — a nie zakończony — to nie przedłuży się z nimi umowy o pracę na dotychczasowym stanowisku. Tak więc część z nich zostanie przesunięta do innej pracy, część — oczywiście — otworzy przewód habilitacyjny, a część z tego grona powinna odejść. To jest oczywiste.

**Redakcja: — Jak liczna byłaby ta ostatnia grupa?**

**Prof. Cackowski:** — Nie potrafię w tej chwili powiedzieć dokładnie, ale wydaje mi się, że około 150 osób. Jednocześnie pragnę podkreślić, że rektorzy uniwersytetów jednomyślnie i stanowczo opowiadają się za utrzymaniem rotacji, ponieważ dzięki niej można zapewnić dopływ świeżej kadry i dzięki niej odchodzą z uczelni pracownicy, którzy się nie sprawdzili. Z różnych względów stało się bowiem tak, że zatrudnienie na uczelni zrobiło się jakby dożywotnie, bardzo nieliczne są przypadki, że pracownik naukowy odchodzi z uniwersytetu dobrowolnie, jeśli nie nadaje się do tej pracy. A zatem skoro nie ma normalnego, opartego na merytorycznych kryteriach odpływu kadry, nie może być też naturalnego dopływu. Naturalnego to znaczy napływu rzeczywiście najlepszych i najzdolniejszych.

**Doc. Korobowicz:** Jeden z problemów polega na tym, że — jeżeli będzie się rygorystycznie przestrzegać litery ustawy i rotacja dojdzie do skutku — 700—800 osób ze stopniem doktora będzie w roku 1991 poszukiwać w tym mieście pracy. Nie w województwie, ale w samym Lublinie. Jest to poważny problem społeczny, gdyż są to ludzie związani z Lublinem i trzeba im na miejscu zapewnić godziwą pracę. Wszelkie domniemania, że wchłonie ich oświata, szkolnictwo i przemysł są całkowicie iluzoryczne. Przede wszystkim nasz przemysł nie jest w ogóle nastawiony na zatrudnianie kadry naukowej. On nie jest innowacyjno chłonny i nie potrzebuje nikogo, kto miałby zajmować się rozwojem nowych technologii. To, co charakterystyczne dla nowoczesnych przemysłów na świecie, u nas, niestety, się nie sprawdza. Także do oświaty adiunkci nie pójdą, gdyż nie mają uprawnień dydaktycznych. U nas można być doktorem i docentem na uczelni, ale nie można nauczać w szkole. Trzeba jeszcze kursa odpowiednie pokończyć, żeby nauczać dzieci. Więc, zwracam uwagę, jest to ważny problem społeczny. Natomiast w pełni się zgadzam, że uczelnia wyższa musi mieć dopływ i odpływ kadry. Że nie każdy, kto zaczyna pracę w charakterze asystenta-stażysty, ma zagwarantowane, że zostanie profesorem.

Na razie patrzymy na tę sprawę w sposób taki, jakby rzecz pojawiła się w 89 czy 90 roku jak deux ex machina, bez naszego udziału. A przecież ta sytuacja, która urosła dzisiaj do takiego rozmiaru, że stanowi problem, jest prostą konsekwencją kilkudziesięcioletniej polityki personalnej, polityki materialnej i socjalnej w szkolnictwie wyższym. To nie spadło na nas jak kara boża. Chyba, że to jest kara za nasze grzechy. Mamy bowiem całkowicie niespójny system tego, co nazywa się karierami naukowymi. My mamy unikalny w skali światowej system kształcenia kadry naukowej.

Na czym polega owa unikalność? Przede wszystkim, z punktu widzenia zewnętrznego, a więc formy i kształtu, jest to czysty barok, budowla niezwykle ozdobna, niezwykle naszpikowana stopniami. Niewiele brakuje do wprowadzonej przez Piotra I tabeli rang. Tamta była dziesięciostopniowa, a u nas prawie jest tyle samo. Stażysta, asystent, starszy asystent, adiunkt, docent, profesor nadzwyczajny, profesor zwyczajny. Zatem tylko trzech stopni brakuje nam do tabeli carskich rang. Równocześnie sposób osiągania kolejnych stopni posiada cechy postępowania inkwizycyjnego. Jest to postępowanie w znakomitej części tajne i w jednym ręku skoncentrowane są wszystkie decyzje. I człowiek ze stopniem naukowym doktora jest jeszcze, do końca tej siedmiostopniowej drogi, trzykrotnie poddawany inkwizycyjnemu postępowaniu, które składa się m. in. z obowiązku napisania nowej książki (naszych możliwości wydawniczych i poligraficznych nie oceniam). Nie — pięciu, sześciu czy dziesięciu dobrych artykułów, które mogą stanowić pewien blok tematyczny, nie. Musi być książka. Jest trzech recenzentów, są trzy tajne głosowania na posiedzeniu rady wydziału, jest komisja, jest tajne głosowanie w Senacie. A na koniec weryfikuje to ostatecznie Centralna Komisja Kwalifikacyjna. A tam jest jeszcze jeden, super tajny recenzent i jeszcze jedno tajne głosowanie, zanim to wszystko dotrze do Rady Państwa. I może się okazać, że tych trzech recenzentów, proszę panów, specjalistów w danej dziedzinie, i ta Rada Wydziału, tego wydziału, który się na tym zna, nic — powiedzmy sobie — nie znaczy, bo jedno głosowanie w CKK może położyć całą sprawę.

Do czego ja zmierzam? Mamy taki doskonały system, śliczny zewnętrznie, mający bardzo dużo ozdóbek, pierwszorzędny w sensie postępowania, pisemny i tajny. Tylko niechżesz pan zwróci uwagę, że czterdzieści parę lat nam mija i nie mamy w nauce ani jednego Nobla. Natomiast są kraje, gdzie się robi dobry doktorat i zostaje się profesorem. Jeżeli się jest dobrym, to się awansuje dalej, jeżeli się jest złym, marnym, to życie wyrzuca na margines i uniwersytet po czterech czy pięciu latach nie przedłuża zatrudnienia. I oni, tam, tylko z tym jednym doktoratem dostają Nobla.

Wnioski pozostawiam, bo nie ma co się zastanawiać. Generalnie rzecz biorąc, wszystko jest u nas nastawione na to, żeby para szła w gwizdek, i ta para idzie w gwizdek, a ktoś tego pilnuje. Pamiętam dobrze kilkakrotne próby zmiany systemu, lepsze czy gorsze, ale w każdym razie stanowiące podstawę do dyskusji. Te próby były zawsze utrącane w środowisku akademickim i w różnych innych decydujących gremiach, ponieważ groziły zmianami tego zastarzałego systemu, do którego tak się niektórzy przyzwyczaili.

**Dr Münch:** — Problem adiunktów jest fragmentem większej całości, albowiem można by mówić o problemie, który dotyczy wszystkich szczebli kariery naukowej, poczynając od magisterium. Warto na przykład zastanowić się nad sprawą absolwentów, którzy — jak to niedawno w prasie napisano — nie mają ani perspektyw zarobkowych, ani mieszkaniowych i można im tylko doradzić czasową emigrację zarobkową. Trzeba by się w ogóle zastanawiać nad problemem pracowników naukowych, ich pozycji społecznej, prestiżu i położenia materialnego.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że dowcipy na temat uposażeń pracowników naukowych są stałym tematem w kabaretach, a ilekroć jakiś dziennikarz pisze o emigracji zarobkowj, to zaraz pojawia się wizerunek docenta, który zmywa naczynia w Berlinie Zachodnim. Ale — dodajmy — on w ciągu wakcji zarabia tyle, ile w kraju nie zarobi przez dwa lata. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek przedtem praca naukowa jawi mi się jako zajęcie dla osób, które są albo bardzo zamożne z domu, albo mają naturalną skłonność dla ascezy, czyli mogą zminimalizować swoje potrzeby do poziomu biologicznej wegetacji. Inną okolicznością, która usprawiedliwa wybór profesji wydaje się, obok braku atrakcyjnych ofert pracy zapewniających jakieś warunki materialne, przede wszystkim nienormowany czas pracy, który pozwala, oprócz etatu, poświęcić się zarobkowaniu. Trudno się zatem dziwić, że niejeden adiunkt, zapytany o

**Dokończenie na str. 7**

## BYŁEM JAK MAŁY, ROZDEPTANY ROBACZEK

# NA UL. WYZWOLENIA W HRUBIESZOWIE

**Izabella Wiazłowska**

POWINNAM zacząć od początku, ale tym razem zacznę od środka. Dlaczego? Żeby odsunąć podejrzenia od osoby, która o całej sprawie mi „doniosła". Czy to aż takie ważne? Oczywiście. Kiedy bowiem przekroczyłam próg gabinetu szefa Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Hrubieszowie i powiedziałam, z czym przychodzę, usłyszałam pytanie: „A kto o tej sprawie panią poinformował?" Było to jednak typowe pytanie retoryczne, gdyż dziennikarz nigdy na takie pytania nie odpowiada. Ale... Nagle nieważna stała się sprawa, z którą przyszłam, a na pierwszy plan wysunęła się nieoczekiwanie osoba „donosiciela".

Informuję więc, że w sprawie tej rozmawiałam z wieloma osobami, przejrzałam też liczne dokumenty. Lecz jedna rozmowa szczególnie utkwiła mi w pamięci:

— Występował pan w sądzie jako świadek?

— Tak.

— Widział pan to zdarzenie?

— Nie.

— To może jest pan znajomym pokrzywdzonego?

— Nie.

— A więc milicjanta, który go pobił?

— Też nie.

— Jakim więc cudem znalazł się pan w sądzie?

— Zostałem w to wszystko perfidnie wrobiony. Poinformowano mnie, że koniecznie należy wybronić z tej sprawy funkcjonariusza MO, a jeżeli tego nie zrobię, to się to dla mnie źle skończy.

●

Był piątek, 22 maja 1987 roku. Minęła 15., kiedy elektryk skończył naprawę ciągnika, którego kierowcą był 30-letni Pokrzywdzony. I właśnie wtedy zaczął padać deszcz. Pokrzywdzony z Kolegą postanowili przeczekać ulewę w zakładzie. Około 17. wyszli obydwaj z „Haconu" przez I bramę.

W tym samym czasie przy bramie nr II zatrzymała się grupa mężczyzn. Podniesione głosy, niecenzuralne słowa, wzajemna szarpanina przekształciła się w bijatykę. Portierka zadzwoniła do Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Dyżurny wysłał radiowóz, który zatrzymał się najpierw na ulicy Wyzwolenia przy dwóch wracających z pracy mężczyzn.

Mówi Pokrzywdzony:

— Uszliśmy jakieś 500 metrów. Zajęci byliśmy rozmową. Nawet nie zauważyłem, że nie opodal zatrzymał się biały fiat. W pewnej chwili poczułem, że ktoś łapie mnie za ramię. Odwróciłem się i wtedy otrzymałem potężnego kopniaka w przyrodzenie. Aż kucnąłem z bólu. Łzy zaczęły mi lecieć z oczu. Kiedy podnosiłem się z ziemi, zobaczyłem stojącego nade mną Milicjanta. Z tyłu dopadł mnie Cywil i kopał po plecach. Zażądali wylegitymowania się. Sięgnąłem do portfela, który był w wewnętrznej kieszeni kurtki. Milicjant chciał wyrwać mi portfel, ale mu nie dałem. Potem z kolegą usłyszeliśmy: „Spierdalajcie, byśmy was tu więcej nie widzieli". Zacząłem wolno iść, bo ból uniemożliwiał mi stawianie większych kroków. Usłyszałem: „Biegiem spierdalajcie". Zacząłem biec. Kolega złapał mnie pod rękę. Przy pawilonie spożywczym kucnąłem na ziemi. Przystanął przy mnie były pracownik „Haconu". Poszedł do sklepu i zadzwonił po pogotowie. Lekarz nie stwierdził zewnętrznych obrażeń.

W poniedziałek poszedłem do zakładowego lekarza, który dał mi skierowanie do chirurga. Na zdjęciu rentgenowskim wyszło pęknięcie i ześlizg kręgu. Byłem 9 miesięcy na zwolnieniu lekarskim. Zostałem wysłany do sanatorium. Następnie byłem na rocznym zasiłku rehabilitacyjnym, a 22 marca 1988 roku otrzymałem III grupę inwalidzką. Mam na utrzymaniu żonę i dwoje maleńkich dzieci.

●

25 maja 87 roku, a więc w dniu, w którym otrzymałem zwolnienie lekarskie, złożyłem w Prokuraturze Rejonowej w Hrubieszowie pisemne doniesienie o pobiciu mnie przez Milicjanta i Cywila. I od tej pory zaczęły dziać się dziwne rzeczy wokół tej sprawy, wokół mnie i świadków, którzy widzieli to zdarzenie.

Najpierw dowiedziałem się w prokuraturze, że przekazano całą sprawę do MO. Niebawem zostałem tam wezwany. Kazano mi opowiedzieć wszystko od początku i podać nazwiska świadków. Za tydzień wszystkich nas przesłuchano i...

11 sierpnia 1987 r. Pokrzywdzony otrzymał pismo od zastępcy szefa RUSW ds. MO: „Informuję, że w sprawie skargi Ob. złożonej do Prokuratury Rejonowej w Hrubieszowie przeprowadzono postępowanie wyjaśniające, a następnie wszczęto i przeprowadzono postępowanie dyscyplinarne. Postępowanie dyscyplinarne nie doprowadziło do ustalenia sprawcy naruszenia nietykalności cielesnej Ob., z tego też względu postępowanie zostało umorzone".

— Proszę pani, zarówno nazwisko Milicjanta, jak i Cywila było znane od samego początku — mówi Pokrzywdzony. — Świadkowie, którzy widzieli, jak mnie bili, znali ich.

Pokrzywdzony napisał skargę do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tym razem odpowiedź przyszła od naczelnika Wydziału Ogólnego WUSW w Zamościu: „[...] w toku postępowania wyjaśniającego w sprawie pobicia Ob. przez funkcjonariuszy MO zostało przeprowadzone postępowanie dyscyplinarne. [...] O wynikach ww. postępowania został Ob. poinformowany pisemnie. A zatem nie można mówić o braku reakcji ze strony RUSW na fakt pobicia Ob. przez funkcjonariuszy MO. [...] Skargi uważam jako ostatecznie załatwione".

Tymczasem 20 sierpnia 1987 r. Pokrzywdzony napisał ponownie do Prokuratury Rejonowej prośbę o zajęcie się sprawą pobicia. W dwa miesiące później napisał skargę do Prokuratury Generalnej. Ta zareagowała natychmiast. Departament Postępowania Karnego pouczył: „[...] Proszę, aby kontynuowane czynności śledcze realizował osobiście prokurator, a nadto aby Prokuratura Wojewódzka zleciła zintensyfikowanie tych czynności".

No i nareszcie w grudniu 1987 roku prokurator rejonowy w Hrubieszowie postanowił: „umorzyć śledztwo w części w sprawie pobicia 22 maja 1987 r. pokrzywdzonego przez Milicjanta wobec nie stwierdzenia przestępstwa publiczno-skargowego".

W uzasadnieniu prokurator stwierdził: „[...] w toku śledztwa ustalono, że Pokrzywdzony, wracając z pracy, został zatrzymany na ul. Wyzwolenia w Hrubieszowie w celu wylegitymowania przez funkcjonariuszy MO. Czynności tej dokonywał Milicjant, który kopnął pokrzywdzonego w okolice krocza. [...] Dokonane badania nie wykazały żadnych uszkodzeń organizmu, które wynikałyby z faktu kopnięcia pokrzywdzonego przez funkcjonariusza MO. [...] Czyn Milicjanta wyczerpuje dyspozycje art. 182 § 1 kk, a jako taki ścigany jest z oskarżenia prywatnego".

— Wniosłem więc sprawę do Sądu Rejonowego w Hrubieszowie — mówi Pokrzywdzony — o pobicie mnie przez Milicjanta i Cywila.

●

Świadek I: „Podczas przesłuchania w RUSW wmawiano we mnie, że stojąc koło domu, nie mogłem widzieć miejsca pobicia. W sądzie Milicjant rozpowiadał, że jestem znany z fałszywych zeznań. Odgrażał się też, że nie będę mógł wyjść do miasta, bo będę prześladowany. Któregoś dnia miałem najście na dom jakichś facetów, których nie znam".

Świadek II: „Widziałem pobicie i żeby nie wiem jak mnie straszono, to zeznań swoich nie zmienię, tak jak to zrobił na przykład Świadek III. Najpierw osobiście podpisał Pokrzywdzonemu oświadczenie, które jest w aktach sprawy, że widział jak go Milicjant bił, a w sądzie całkowicie zmienił swoje zeznania. A przecież stał niedaleko nas i wszystko tak jak my widział. Nie wiem, czym go zastraszyli".

Świadek IV: „Gdy czekałem na korytarzu RUSW, podszedł do mnie milicjant i zapytał: »Czy tak mocno was pobiliśmy?« Odpowiedziałem, że lekarz dał taki wynik stanu zdrowia. Milicjant powiedział: »Zobaczymy, jak to się skończy, to potem będziemy rozmawiać inaczej«".

Świadek V: „Usiłowano zastraszyć mnie wszelkimi sposobami, szantażowano nawet tym, że matka moja prowadzi melinę. W sądzie przed rozprawą milicjanci chodzili koło świadków i mówili: »No, niech się tylko sprawa skończy, to dopiero im się pokaże«. Większość świadków była przerażona".

●

— Kiedy rozpoczęły się sprawy w sądzie — mówi Pokrzywdzony — Milicjant usiłował najpierw wrobić mnie w bójkę, która prawie w tym samym czasie, kiedy nas bili, rozgrywała się po drugiej stronie „Haconu". Nie brano pod uwagę zeznań moich świadków, którzy twierdzili, że jak mogłem być tam, skoro oni widzieli, jak mnie bito. Dopiero strażacy, którzy bójkę tamtą rozgonili, przeważyli szalę na moją stronę. Później okazało się, że w hrubieszowskim sądzie nie ma sędziego, który by zechciał sądzić moją sprawę.

17 lutego 1989 roku Sąd Wojewódzki w Zamościu postanowił wyłączyć wszystkich sędziów Sądu Rejonowego w Hrubieszowie od rozpoznawania sprawy Milicjanta i przekazał ją do rozpoznania Sądowi Rejonowemu w Zamościu.

— Rozprawa w Zamościu odbyła się 21 marca — mówi Pokrzywdzony. — Wezwano na nią wszystkich świadków. Kiedy sąd wyprosił ich z sali, sędzia zaczął nakłaniać mnie do pojednania. Powiedziałem, że nie pojednam się. Adwokat Milicjanta też zaczął namawiać mnie do pojednania, bo sprawa już się za długo ciągnie. To znowu sędzia mówił, że to jest taka sprawa, że mogę ją przegrać. No i... zgodziłem się na podpisanie ugody.

— Dlaczego pan to zrobił?

— Mój adwokat nie zdążył dojechać na rozprawę. Oni wszyscy mówili tylko o ugodzie. Czułem się zagubiony. Po tylu miesiącach walki nie miałem już siły. Byłem osaczony. Bezsilny. U kresu wytrzymałości. Byłem jak mały, rozdeptany robaczek. Czy pani mnie rozumie?

W ugodzie sądowej zapisano, że Milicjant przeprasza Pokrzywdzonego za zajście, które miało miejsce 22 maja 1987 roku na ulicy Wyzwolenia w Hrubieszowie. Nie będzie też w stosunku do poszkodowanego oraz zeznających w sprawie świadków podejmował żadnych działań represyjnych.

Ponieważ według opinii lekarskich przyczyną utraty zdrowia przez Poszkodowanego były bezpośrednie kopnięcia go przez Cywila, sprawę tego ostatniego przejęła z urzędu Prokuratura Rejonowa w Hrubieszowie, która wniosła akt oskarżenia do Sądu Rejonowego w Hrubieszowie.

Końca tej sprawy jakoś nie widać.

Świadek: „Cywil i Milicjant nadal pracują na tych samych stanowiskach i mają się dobrze. No — dodał po chwili, patrząc na mnie wymownie — oni nam teraz dadzą popalić".

# LISTY - POLEMIKI

## „DROGA"

*Nie znałem wcześniejszej wypowiedzi na temat neokatechumenatu, zamieszczonej w 8 numerze waszego (BARDZO CIEKAWEGO!) pisma, dopiero po przeczytaniu listu rzekomej Róży Jundziłłowej (nr 14) poznałem ów „kij w mrowisko" polskiego katolicyzmu.*

*Czytając wypowiedź rzekomej Róży J., zgadzałem się w zasadzie z każdym zdaniem biednej, ośmieszonej dziewczyny, tym bardziej że za wieloma jej myślami stoi... Papież. Może tylko zbyt mocno, niezręcznie lub naiwnie pewne sprawy określa — ale to charakterystyczne dla młodego wieku. Gdyby nie było tak, że „jedni mamroczą coś pod nosem, drudzy bezmyślnie powtarzają »Ojcze nasz«, niezdolni do rozmowy z Bogiem" — to PAPIEŻ NIE WZYWAŁBY DO POWTÓRNEJ EWANGELIZACJI EUROPY I O DZIWO... POLSKI*

*Czyż naprawdę Róża J. jest zadowolona ze stanu polskiego katolicyzmu, z owej „tradycji i wiary", której tak broni? Czy nie wyciąga żadnych wniosków z faktu, że rocznie zabijamy milion poczętych dzieci? Że mamy miliony alkoholików i pijaków? Że miliony okradają swe zakłady pracy? A może spokojnie obwinia o to ustrój?*

*Prawdą jest też, że „homilie są puste, jałowe i nijakie". Zarzuty tego typu przecież można spotkać w oficjalnych pismach katolickich! Taka jest również moja opinia — przeciętnego katolika — o większości homilii w moim parafialnym kościele.*

*Sprawa głębokiej idolatrii, unieszczęśliwiającej, zniewalającej, jest prawdopodobnie nie znana Róży J. Przeciętny student psychologii wyjaśniłby jej, że istotnie wszystko może stać się idolem, również tak wzniosłe wartości, jak dzieci, współmałżonek, ojczyzna, polityka, a nawet... Jezus Chrystus. Uwolnienie się od tej idolatrii to — wolność.*

*Niesamowita zjadliwość i złośliwość wypowiedzi Róży J. jest tym dziwniejsza i BUDZI ZDUMIENIE, ŻE Róża J. NIE ZETKNĘŁA SIĘ OSOBIŚCIE Z NEOKATECHUMENATEM! Przeraża więc fakt, że można z taką zjadliwością sądzić coś, czego SIĘ NIE ZNA! Wypowiedź dziewczyny zresztą Róża J. powinna była potraktować z pewnym dystansem — może jest psychopatką? A może redaktor wprowadził niezamierzone przeinaczenia? (Pewne błędy rzeczowe rzucają się w oczy: „kerimat" zamiast „kerygmat", „Cicco" zamiast „Kiko", modlitw nie wznosi się na liturgii „na klęczkach wśród tłumu", ale stojąc w małej wspólnocie itd.).*

*Trzy lata temu wysłuchałem wstępnych katechez, jednak z ważnych powodów rodzinnych musiałem zrezygnować z drogi. Wśród mych bliskich krewnych i znajomych jest nieco neokatechumenów, od czasu do czasu teraz również uczestniczę w liturgiach (chrzty, śluby), mam więc prawo wypowiedzieć się na temat neokatechumenatu, którego to prawa na pewno nie miała Róża J.*

*Mogę zapewnić p. Różę J., że nie tylko we wspólnotach nie ma „NIEWOLENIA DUSZ", ale jest odzyskiwanie wolności w najgłębszym tego słowa znaczeniu. Nie tylko nie ma „utraty własnego ja", ale jest jego odzyskiwanie. Nikt nikogo nie „zmusza do publicznego wywnętrzania się ze swoich grzechów, upadków" — spowiedź ma charakter uszny. Jest oczywiście „dzielenie się życiem", które jest też bardzo istotnym elementem ruchu oazowego (hołubionego przez Kościół), a przecież tego zarzutu nie stawia oazom.*

# BYŁEM SPEKULANTEM

**Stanisław Harasimiuk**

**15 stycznia, niedziela.** Na „Sygnale" tzw. meksyk, czyli raj dla przedsiębiorczych. Nowa ustawa o przedsiębiorczości, bardzo potrzebna gospodarce, przydała się również handlarzom, gdyż ich rozgrzesza de iure; przynajmniej w ich sumieniu. Ale oni, choć mogą, na razie nie zgłaszają i nie zakładają własnych firm. Nie dowierzają trwałości nowej ustawy, boją się ryzyka, podatków, trudności z urzędnikami, sanepidem, władzami lokalowymi itd. Działają więc z rozpędu, tyle że z większym animuszem, ale na obszarach dobrze im znanych. Teraz czują się bezpieczniej, więc hulają na stadionie bez krępacji. I płyną pieniądze spienioną rzeką. Masa papieru z portretami sławnych Polaków wędruje z rąk do rąk. Miliony. A raczej miliardy.

Można nabawić się kompleksów. Z czym ma startować taki przeciętniak jak ja? Z czterdziestoma paroma tysiącami pensji i dwunastoma wierszówki? Sąsiad z lewej — rencista, choć mój rówieśnik, pięćdziesięciolatek o karku byka i gębie jak krwawy befsztyk, okaz zdrowia o masie stu kilogramów — kicha na biedę i na swoją odrobinę wyższą od moich apanaży rentę. Na nowym paszporcie, wykupionym z góry na dziesięć lat, kursuje regularnie do Wiednia przez ZSRR i Węgry. Co kilka tygodni. Co wozi, słodka tajemnica — odpowiada. Ale potem okaże się rozmowniejszy. A więc kamyki i kawior stąd, a z Mexico Platz tu — elektronikę made in Hongkong, kawę, włóczkę, skóry z Flomarku. Towar jego na pierwszy rzut oka atrakcyjny, błyszczy, opakowany z bajerami — idzie jak woda.

I pełne bezpieczeństwo. Syn rencisty, student, siedzi w zaparkowanym w bocznej uliczce passacie-kombi i od czasu do czasu donosi to, co już poszło, a co ojcu na stoisku potrzebne. Jest bezpieczny wobec tajniaków z MO i rycerzy fiskusa, którzy ponoć penetrują każdą giełdę. Przecież wolno handlować towarem z importu, szczególnie zwolnionym od cła lub z cłem jak należy uiszczonym. Tryskający zdrowiem rencista, który ongiś, jak mówi z humorem i wdzięcznością, stracił zdolność kierowania, przed czternastą, jak i ja, zwija swój majdan po mojej lewicy i chwali się z dumą, że przewrócił dziś „balona" z dużym hakiem.

— Na czysto?

— No, bez przesadyzmu. Miało się jakieś tam koszta.

— Jasne. Pewnie z połowę.

— Około.

— Czyli minimum pół bańki?

— Yes — rżnie stukilowy rencista z angielska. — Dniówki — dodaje. Nie należy już do partii. Po co? Teraz? Nie wierzy też w kryzys.

Po mojej prawej ręce sąsiad sprzedał opony do malucha. Puścił je po pięćdziesiąt tysięcy za sztukę. Dziwne, bo taniej o dziesięć tysięcy, niż płacą na giełdzie samochodowej. Ale i tak masa forsy. Ćwierć miliona za komplet opon. Oto miara naszej inflacji. Nie tak dawno przecież cały maluch, ów pojazd dla świata pracy, kosztował z grubsza tyle samo co dziś jedna jedyna opona. Państwowa oficjalna cena najpodlejszego w Europie samochodziku została zwiększona trzydziestokrotnie! Horror. Cena wolnorynkowa wzrosła 53 razy! Z 75 000 zł do przeszło czterech milionów.

Dopytuję oponiarza, gdzie zdobył swój towar. Nie zdradza tajemnicy do końca, ale napomyka, że poza Pewexem (15 dolarów za sztukę) można szukać w stacjach obsługi. Czasem bywają. Jasne, nie dla każdego i nie za frajer.

Moje interesy cieniutkie. Trzymam wysokie ceny, żeby nie ogołocić mego ubożuchnego kramu. Zbyłbym chętnie kożuszek, ale tego akurat nikt nie chce, nawet za czterdzieści tysięcy. Po prostu minęła moda, ona jest decydująca. Za modne barachło ludzie zapłacą krocie, za niemodną, choć solidną rzecz nie dadzą nawet dziesiątej części jej wartości. Dobrze o tym wiedzą handlarze, którzy w odpowiednim momencie ciągną toboły ze Stambułu czy Budapesztu. Ich epigoni, ci z owczego pędu, mają potem wielkie kłopoty i miesiącami usiłują wyzbyć się wychodzących z mody bubli. Jak wszędzie — wygrywają tylko ci z czołówki.

**22 stycznia, niedziela.** Stadion „Sygnału". Jegomość z Chełma — ponoć magazynier — przytargał nieprawdopodobne toboły importowanych kurtek z madery, na misiu, made in Yougoslavia. Poza tym polskie, produkowane tylko na eksport buty przewspaniałe, jakieś swetry wystrzałowe, też nasze, i lalki z NRD. Wszystko z państwowych magazynów własnych lub kumpli. Wszystko opchnął błyskawicznie, z dużymi nadcenkami. Saszetka magazyniera aż się wybuliła od setek utargowanych tysięcy. Magazynier od bladego rana pociągał prosto z butelki, pod południe był całkiem wesolutki, wsiadł do dużego fiata i odjechał w siną dal.

Podobno była nagonka, ponoć cywile z PG (wydział przestępstw gospodarczych MO) oraz z Izby Skarbowej wyłapali jakichś ludzi spekulujących zakazanymi towarami, głównie produkcji krajowej. A także jakichś gości z kasetami wideo, z sofiksami szczeniaków, z „Radmorami" itd.

Oczywiście, powpadali, jak zwykle, naiwni i nowicjusze, amatorzy. Zawodowcy albo mają swoje dojścia i układy, albo przysłowiowego nosa, albo są wyjątkowo ostrożni, kuci na cztery nogi. Natomiast ryzykujących amatorów patrole w cywilu i rycerze fiskusa wyławiają bezbłędnie. Po prostu amator sam się wystawia na odstrzał. Tajniacy łowią więc mało szkodliwe płotki, a rekiny hulają dalej. Przecież widzę doskonale mi znane, ciągle te same twarze na targu przy Ruskiej i na stadionach, te same co w 1981, 1984, latem '88, w styczniu 1989 roku. Trudno raczej uwierzyć, aby nie rozróżniali owych fizys ludzie od wielu lat zawodowo penetrujący na co dzień targi i giełdy, na których ja bywałem tylko okazjonalnie i krótko — przy okazji kilku wcieleniówek, reporterskich przebieranek. Przypuszczam, że funkcjonariusze też rozróżniają handlarzy, ale nie mogą znaleźć na nich „haczyka". Poza tym czasem bywalcy targowisk bywają operacyjnie przydatni. No i wielu posiada kombatanckie legitymacje. Sporo z nich to emeryci, byli funkcjonariusze. Na przykład wśród cinkciarzy — połowa.

Wpadali więc na giełdzie młodzieńcy, debiutanci, prostaczkowie, a bywało, że i dyrektorzy, których podkusiła łatwość zdobycia (od kolegi) deficytowego towaru. Nigdy fachowcy.

Swoją drogą cud, że nie wpadł magazynier z Chełma. Przecież nowicjusz kompletny, gołym okiem widać. Pewnie uratowało go przysłowie: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Magazynier na giełdzie był przede mną, a do dziesiątej z minutami opchnął już wszystko. Właśnie tajniacy zaczęli wyłuskiwać pierwszych spekulantów-amatorów.

Było paru facetów z oponami. Jednego z nich pytałem, skąd je zdobył. Twierdzi, że kupił w Pewexie, jeszcze po starych cenach, 12 dolarów za sztukę. Ma ich pięć. Jeśli liczyć dolar po 3200 (a więc, jak przypuszczałem, kurs spada), to za oponę wychodzi 38 400 zł. Sprzedał po 55 tysięcy, więc zarobił na każdej sztuce po 17 000 zł. Niewąsko, 85 000 zł za jednym posiedzeniem. I w pełni chyba legalnie, gdyż do peweksowskich towarów MO się na ogół nie wtrąca. Dolar to jest dolar.

Inny gość miał jedną oponę. Stał niemal vis-a-vis. Widziałem, jak podeszło do niego dwu tajniaków; wypytywali, ile chce za tę gumę. Gość popatrzył na nich przeciągle i odpowiedział, że balon nie do sprzedania, bo sam niedawno kupił do swojej łady. Za ile? Za sześćdziesiąt pięć tysięcy. Od kogo? A diabli go znają, szedł jakiś gość z oponą, więc zaczepił go i dogadali się, w zęby ani do dowodu mu nie zaglądał, nie jest gliną. A panowie co tak naciskają, co? Policja czy co? — Ależ nie, skąd. Funkcjonariusze pewnie nie wierzyli facetowi, ale musieli odejść, a on ich już filował. Wybieg prosty jak świński ogon.

Kuszą mnie te opony. Ale jak je zdobyć? I czy takie, które po akcji ewentualnie nadadzą się do mego trabanta, są równie atrakcyjne? Diabli wiedzą. Ale sama myśl została: zdobyć opony, świetny rekwizyt targowy, a przy okazji zapas do mego wozu na przyszłość. Jeżdżę dużo, opony polecą raz dwa. Na wiosnę nowe przydałyby się jak znalazł. Przecież na wiosnę będzie je zdobyć raczej trudniej niż łatwiej. Warto o tym pomyśleć: jak wykombinować takie gumy.

Przez dyrekcję „Polmozbytu", oficjalnie — odpada. Nie chcę nikogo wciągać formalnie do mojej gry, przecież niezupełnie czystej, a nade wszystko wymagającej pełnej dyskrecji. Muszę chwycić się jakiegoś wybiegu. Prawo nie przewiduje takich jak moja przebieranka sytuacji. Dlatego ongiś Kisch, potem Wallraf, a u nas Rolicki czy Snopkiewicz musieli radzić sobie sami. Spróbuję i ja.

**28 stycznia, sobota.** Na stadionie „Startu" przy Alejach Zygmuntowskich. Słabiutko. Jedyna cenna informacja to skok czarnorynkowych cen złota. Płacono za nie po 25—30 tysięcy za gram.

Nie sprzedałem nic.

**29 stycznia, niedziela.** Na „Sygnale" identycznie jak wczoraj na „Starcie". Nic godnego uwagi. Spokój. Normalny, wręcz nudny, powielany w setkach egzemplarzy obrazek ludzi tłukących miliony. Czuję się niewyraźnie, trochę głupio z tym swoim chudym kramem. Wywieszam więc rozmaite ogłoszenia pokuśne, ale one też nie zmieniają sytuacji. Tyle, że jest rozrywka.

**30 stycznia, poniedziałek.** Rano na targu obok Ruskiej. Naiwna chyba Ukrainka z Wołynia usiłuje mi wcisnąć łańcuszek próby 583, ważący rzekomo 2,350 grama — za sześćdziesiąt tysięcy, stosunkowo tanio. Odmawiam. Pewnie błąd, bo może puściłoby się drobiazg z zyskiem.

Nic nie kupiłem, ponieważ od znajomego targowego „stacza" dowiedziałem się, że na jednej ze stacji obsługi mają opony do fiata-bisa, o wymiarach 135×13, a więc nadające się również do mojego trabanta.

Natychmiast tam pojechałem. Przedstawiłem się kierownikowi stacji, i powiedziałem, że mój wyimaginowany kolega z Warszawy, Janusz Tarwacki, bardzo potrzebuje opon do swego malucha.

— Ale my mamy tylko bisowskie 135/70×13.

— To nic, mogą być bisowskie. Zmieni się felgi i będą pasowały idealnie

Pertraktacje były dość długie i zawiłe. Wreszcie kierownik uległ, chyba nie wypadało mu odmówić „panu redaktorowi".

Za opony łącznie z usługą zapłaciłem niespełna siedemdziesiąt tysięcy (dokładnie 68 714 zł). Dostałem kwit (okaże się potem, że z błędem w adresie) i ruszyłem ze zdobyczą do domu. W każdym razie mam „towar" chodliwy, z którym jako rekwizytem istotnym długo będę mógł się bujać na giełdach stadionowych oraz na wymarzonej samochodowej, do której nie miałem dotąd żadnych pretekstów (pierwszy w życiu, asygnatowy trabant nie wchodził w rachubę, bo jego ewentualnego zbywania zabraniają surowo przepisy). W najbliższą sobotę zabiorę opony na stadion „Startu", a w niedzielę ze zdobycznymi gumami „przetestuję" giełdę samochodową na Majdanku.

Choćby dlatego rzecz warta była zachodu.

**(Koniec odcinka 2. — cdn.)**

---

*Nieuczciwy jest zarzut: „Potem człowiek tępieje". Nawet moje kontakty z neokatechumenatem poszerzyły me horyzonty umysłowe — zeknąłem się autentycznie z Biblią, ze „słownikiem teologii biblijnej". Po raz pierwszy niedawno udało mi się odeprzeć ataki świadków Jehowy.*

*Zdumiewająco żmijowaty był też zarzut: „ciepła atmosferka zamkniętych kręgów, owe uściski i ucałowania przy herbatce". Czy ktoś kiedyś zarzucał oazom, że kręgi spotykają się przy herbacie i również przekazują sobie znak pokoju przez pocałunek?*

*Parafia staje się — Bogu dzięki — wspólnotą wspólnot, przestaje być wielką anonimową masą, co w przypadku parafii wielkomiejskiej jest niesłychanie ważne. Pani ubolewa, że różne „ruchy powstają jak grzyby po deszczu" i że „rozbijają Kościół" czyni z Pani Lefebre'a w spódnicy i niebezpiecznego wroga II Soboru Watykańskiego.*

*Niewątpliwie winna jest też dziewczyna. Jaki „nabór do głoszenia słowa za granicą"? Pani Róża J. zrozumiała to zupełnie po polsku: paszport, wiza i hejże na Zachód. Ci, którzy słuchają Radia Watykańskiego, wiedzą, że chodzi o wspólnoty włoskie i hiszpańskie, które już ukończyły drogę i z których — rodziny wielodzietne przede wszystkim — były wysyłane PRZEZ PAPIEŻA do pracy ewangelizacyjnej za granicę. „Atrakcyjność" tej pracy — (jak to bardzo po polsku określa p. Róża J. — to i slumsy Frankfurtu, mrozy i smrody fińskiego [słowo nieczytelne — red.] itp.*

*Najbardziej kłamliwe, niesprawiedliwe są zarzuty: „Nabożeństwa te mają osobne nazewnictwo", „można i tak się zabawiać", „taka zabawa w katakumby", „nie jest to droga... a ciemne, złe bezdroża", „wszystko klajstruje się nonsensem — powrotem do życia pierwszych chrześcijan..." Żółć więc aż kipi!*

*Proszę Pani, rzecz w tym, że TAK SIĘ „ZABAWIA" SAM PAPIEŻ JAN PAWEŁ II (uczestniczył wiele razy w liturgiach wspólnot rzymskich, patrz: „Spotkania Pawła VI i Jana Pawła II ze wspólnotami neokatechumenalnymi", Lublin, of. KUL) i błogosławi wciąż temu, co Pani określa „bezdrożem", temu, co według Pani ma „antyspołeczny i antynarodowy charakter".*

*Moja żona tak skomentowała wypowiedź p. Róży J.: „Józiu, to żadna Róża J., to jakiś zazdrosny ksiądz i do tego z doktoratem!"*

*Gdyby tak było, należałoby płakać nad polskim Kościołem, którego pasterze sprzeciwiają się Piotrowi, uznają go za głupca! Patronują żądaniom pluralizmu związkowego, a nie znoszą u siebie nawet „wielości" w jedności.*

*Tyle żółci mogła wylać z siebie tylko osoba bardzo nieszczęśliwa. Proszę Pani, a może by tak na katachezy neokatechumenalne? Właśnie są głoszone na Czechowie w par. Dobrego Pasterza. Nikt nie będzie — jak Pani przypuszcza — „żerował na takich stanach Pani duszy jak... smutek". Katechiści powiedzą Pani, że Bóg Panią kocha, choć tak straszliwie, niesprawiedliwie, krzywdząco sądzi Pani innych, nie znając ich w ogóle! A przecież mogła Pani posłuchać dobrej rady starego Gamaliela:*

*„Odstąpcie od tych ludzi i puśćcie ich! Jeżeli bowiem od ludzi pochodzi ta myśl czy sprawa, rozpadnie się, a jeżeli rzeczywiście od Boga pochodzi, nie potraficie ich zniszczyć i może się czasem okazać, że walczycie z Bogiem".*

**Józef Chinek**

(Adres do wiadomości redakcji)

*PS. Zapomniałem o czymś. Pani R. J. ubolewa, że w dobie ekumenizmu Kościół dzieli się itd. Informuję ją, że wspólnoty neokat. istnieją w Kościele anglikańskim w Londynie i z powodzeniem mogą funkcjonować w Kościele prawosławnym.*

## LUDZIE SĄ WSZĘDZIE TACY SAMI, ZMIENIA ICH JEDYNIE MIŁOŚĆ I NIENAWIŚĆ

# PRZEWIDZIEĆ SKUTKI

## Rozmowa z prof. Grzegorzem L. Seidlerem

GRZEGORZ L. SEIDLER: — Wyznam panu, że zgodziłem się na ten wywiad z dużymi oporami. Żyję w tym mieście bez mała czterdzieści lat, udzieliłem wielu wywiadów, wiele razy zabierałem głos publicznie i żywię obawę, że to, co powiem, nie będzie niczym nowym; w każdym razie nie odkrywczym, a już na pewno nie rewolucyjnym.

„RELACJE": — Nie uważa się pan za człowieka czynu rewolucyjnego? Jest pan przecież komunistą, a komuniści...

— Marksistą, drogi kolego, marksistą. Człowiekiem koncepcji i konstrukcji. Kiedy tak czasami podglądam moje długie życie, dostrzegam, że bliższe mi były raczej synteza i tworzenie, niż analiza i negacja. Zawsze też uważałem, że człowiek sprawdza się w praktycznym działaniu i szukałem możliwości konstruktywnej pracy.

— Zawsze się to panu udawało?

— Na ogół tak. Być może ułatwił mi to wybór pewnej opcji politycznej, opartej na wiedzy, oglądzie polskiej rzeczywistości i zdolności przewidywania konsekwencji faktów politycznych. Z czasem także i na, z wieku płynącym, doświadczeniu.

— Ciekaw jestem, jak ewoluowała pańska opcja polityczna, panie profesorze. Jak ona się dziś przedstawia? Georges Clemenceau wygłosił niegdyś słynną sentencję, iż ten, „kto w młodości nie był socjalistą, w wieku dojrzałym nie stał się konserwatystą, na stare lata zostanie łajdakiem". Byłżeby pan konserwatystą?

— Clemenceau był w ogóle oryginałem. Natomiast serio — nie uważam się za konserwatystę w sensie doktrynalnym. Sądzę natomiast, iż moje poglądy cechuje pewien konserwatyzm, pojmowany jako niezmienność kluczowych elementów programu, wyboru politycznego. Muszę pana rozczarować. Po pierwsze, nie uważam, by moje młodzieńcze poglądy mogły kogokolwiek zająć, a po drugie, powtarzam, moje credo polityczne nie różni się dziś aż tak bardzo od wczorajszego.

— A jakie jest to credo?

— Sprecyzowałbym je w trzech, może czterech punktach. Po pierwsze uważam, że Polska, z uwagi na swą dzisiejszą sytuację geograficzną i demograficzną, ma wyjątkową pozycję. Jesteśmy dużym, 40-milionowym państwem w sercu Europy, jednolitym narodowo, religijnie i społecznie. Tak umocowanej Polski musimy strzec jak oka w głowie — to jest nasz historyczny imperatyw. Imperatywem politycznym jest sojusz ze Związkiem Radzieckim i przynależność do Układu Warszawskiego.

— Pan jednak jest konserwatystą...

— Zacytuję Demostenesa: „Chciałbym się wam podobać, o Ateńczycy, ale wolę was ocalić". I to bynajmniej nie jest żadna retoryka, kochany kolego. Era powojenna dobiega końca. Tworzą się nowe konstelacje państw, dyskutuje się porządek ustalony po drugiej wojnie światowej. Takie przejściowe okresy zawsze stwarzały pewne szanse, ale towarzyszyły im zwykle ferment i walka. Teraz również obserwujemy podobne zjawiska. I obawa o nasze zachodnie granice nie jest wcale teoretycznym problemem.

— ?...

— A tak. Tylko zaślepiony emocjami człowiek może nie dostrzegać ukrytych niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą utrzymywanie nazw niemieckich miejscowości położonych na naszych zachodnich rubieżach, czy też obłędna idea podwójnego obywatelstwa na tych terenach, nie mówiąc już o wykupywaniu naszych długów. Sprawa naszej państwowości w obecnych granicach jest dla nas najważniejsza.

Po drugie, uważam — i tu wracam na wewnętrzne podwórko — że polityce nie może być podporządkowana moralność. Bertrand Russell powiedział kiedyś: „Bez moralności obywatelskiej, społeczeństwa giną, bez moralności osobistej nie są warte przetrwania". Każde zachowanie jednostkowe ma swój wymiar etyczny, a nie dostrzeganie tego prowadzi do tragicznych następstw.

Myślę równocześnie, że nie można ograbiać socjalizmu z ogólnoludzkich wartości, zubożać go. Sądzę, iż należy przemyśleć nasze podstawowe pryncypia i od strony wartości ogólnoludzkich patrzeć na naszych przyjaciół i wrogów. Socjalizm powinien stać się ideologią intelektualnie przodującą, wolną od totalitaryzmu. Paradoksem w obecnej sytuacji jest to, że prawica podejmuje tradycyjne hasła lewicy — walkę o wolność jednostki, prawdę i praworządność, gdyż lewica, zajęta budowaniem biurokratycznego imperium, wycofała się z tej walki.

— Nie tylko się wycofała, ale przeszła na pozycje obrony i utrzymywania zainstalowanego przez siebie porządku.

— Był to wynik stalinizacji socjalizmu, jego unifikacji, narzucenia pewnych wzorców. Rewolucja oświatowa, jaka zaszła w naszym kraju, spowodowała ogromny wzrost świadomości Polaków. Jesteśmy społeczeństwem myślącym, które nie chce być jakimś zbiorowym odbiorcą, karmionym tą samą papką. Polacy przejawiają wyraźne dążenie ku różnorodności, do pluralizmu. Podobnie jak różnorodność genetyczna sprzyja przetrwaniu gatunku, tak i różnorodność we wszystkich przejawach życia społecznego, zwiększa siłę społeczeństwa. To jest nasz kapitał, który wcześniej czy później zacznie procentować. Stoimy, po „okrągłym stole", przed historyczną szansą. Od mądrości i odpowiedzialności ludzi i stronnictw, ucieleśniających ów pluralizm, zależy wykorzystanie tej szansy. Nie podzielam obaw, iż w zbliżających się wyborach będą skreślani znani działacze. Wierzę, że społeczeństwo pragnie mądrych, odpowiedzialnych i perspektywicznie myślących reprezentantów, a nie ludzi z przypadku.

Fot. **Waldemar Stępień**

To, co natomiast budzi mój niepokój, to codzienne, ogromne marnotrawstwo, bałagan, brud. Gotowi dyskutować o sprawach świata i państwa, tolerujemy jednocześnie niechlujstwo i niedbałość, jesteśmy dziecinnie niechlujni i beztroscy w sprawach codziennych. Drażni mnie to być może w stopniu szczególnym dlatego, że wyrastałem w innej epoce, gdzie te sprawy miały niepomiernie większe znaczenie. Uważam się przeto za rzecznika gospodarności „małego wymiaru", codziennej rzetelności. Imponują mi ludzie, którzy bez względu na wichry polityczne i kłody pod nogami, robią dobrze to, co do nich należy.

Pytał pan mnie o credo polityczne. Tak by ono z grubsza wyglądało. Taki mini-program starałem się — w granicach możliwości — realizować. Świadomy, że przykład jest najlepszym wychowawcą i że o człowieku świadczy nie tylko to, co zrobił, ale również — w jakim stopniu i kierunku oddziaływał na otoczenie.

— Jakkolwiek by o niej mówić, przeszłość nierozerwalnie towarzyszy współczesności Polaków, jest jej cieniem, niekiedy ją przesłania, ale oderwać się od minionych lat jakoś nie możemy. Czym jest przeszłość dla pana jako marksisty, jakie niesie ze sobą doświadczenie?

— Napłynęła wysoka fala rozrachunkowa i ja uważam, że jest to oczyszczający ogień. Organizowanie pamięci zbiorowej, czynienie z historii narzędzia legitymizowania aktualnej władzy, zawsze przynosiło złe następstwa elitom ulegającym tej pokusie. Mówiłem już, jak wiele zła wynikło z lansowania tezy o nadrzędności polityki nad życiem kulturalnym, gospodarczym i moralnością. Doskonale zdaję sobie sprawę ze znaczenia akcji rozrachunkowej, ale nie chciałbym, abyśmy przy tej sposobności zagubili nasze osiągnięcia, jak choćby rewolucję kulturalno-oświatową, o której mówiłem, że zmieniła myślenie Polaków.

Marks stale przestrzegał przed niebezpieczeństwem, jakie niesie utopijny socjalizm, projektujący ustrój na podobieństwo maszyny. Jakobini żyli taką utopią zbudowania wyłącznie w oparciu o rozum zupełnie innego społeczeństwa. Uważali, że po drugiej stronie gilotyny czeka Francuzów szczęśliwy kraj sprawiedliwości. Ufni w swą wizję „miłości do człowieka", posługiwali się terrorem. W imię pokoju i sprawiedliwości gotowi byli prowadzić nawet... wojnę. W przeciwieństwie do utopii, marksiści nie mogą antycypować w sposób dogmatyczny przyszłego ustroju. Marks w „Ideologii niemieckiej" pisał: „Komunizm jest dla nas nie *stanem*, który należy wprowadzić, i nie *ideałem*, którym miałaby się kierować rzeczywistość. My nazywamy komunizmem rzeczywisty ruch, który znosi stan obecny".

— Wygląda mi to na grę słów...

— A jest kluczowe dla zrozumienia sensu przemian socjalistycznych. Pan najwidoczniej tego nie rozumie, kochany panie kolego. Według Marksa, nowy świat miał się wyłonić ze starego jako formacja tego samego społeczeństwa. Z tego punktu widzenia niewybaczalnym grzechem jest pomijanie związków między socjalizmem a kapitalizmem, arbitralne określanie cech swoistych społeczeństwa socjalistycznego. A poza tym, mimo że uczymy się na błędach i drogo za nie płacimy, nie mamy żadnego wpływu na przeszłość. Natomiast przyszłość należy do nas i w jakimś stopniu możemy ją kształtować.

Nie możemy być więźniami jednej określonej formy ustrojowej. Struktury państwa muszą ewoluować w zależności od stopnia rozwoju świadomości społeczeństwa, jego kultury, zmieniających się stosunków społecznych, jak też sytuacji politycznej — zewnętrznej i wewnętrznej. W społeczeństwie zamkniętym władze nie tylko uzurpują sobie prawo do sprawowania kontroli nad poczynaniami ludzi, nad tym, co oni robią i mówią, ale zmierzają również do panowania nad ich wyobrażeniami, marzeniami i aspiracjami Tymczasem w Polsce pluralizm jest faktem, stąd nie sposób ujmować społeczeństwa w kategoriach niezróżnicowanej jedności. Zmiana scentralizowanych i jednolitych wzorców, jakimi posługiwaliśmy się przez kilka dziesięcioleci, wymaga lat dla przestawienia mentalności. Kot, przeciągnięty przez wyżymaczkę, ma kompleks wyżymaczki.

— Jak zatem, w przededniu wyborów, postrzega pan szanse zbudowania polskiej demokracji?

— Bez wątpienia uczyniliśmy decydujący krok dla przyciągnięcia do współpracy grup, które od początku Polski Ludowej stały na uboczu. Jak utrzymać teraz ten kompromis? Jak integrować społeczeństwo pluralistyczne? I nie chodzi bynajmniej o integrację strukturalno-organizacyjną, lecz o coś więcej — o integrację psychiczną społeczeństwa. To jest nasz dylemat, który musimy rozwiązać, nie mając zresztą żadnych wzorów. Dokonane ostatnio zmiany w Konstytucji przez wprowadzenie silnej pozycji prezydenta, przy zachowaniu zwierzchnictwa parlamentu, są próbą rozwiązania tego dylematu. Nasza demokracja nie może unicestwić współczesnej różnorodności społeczeństwa i jego indywidualizacji. Jednakże różnorodność nie może też osłabić ani naszej państwowości, ani też mocy zbiorowego działania.

Przyszłości nigdy, jak wiadomo, nie widzi się w wyraźnym kształcie. Historia bowiem kończy się w teraźniejszości, a nie w przyszłości. Poza tym przyszłość nie jest przedmiotem wiedzy, ale przedmiotem nadziei, oczekiwań i obaw. Pomieszałoby to pragnienia i wysiłki człowieka, gdyby z góry znał datę swojej śmierci.

— Chce pan powiedzieć, że niczego nie można przewidywać?

— Wręcz przeciwnie! Umiejętność przewidywania i dokonywania właściwej oceny stawiam na pierwszym miejscu w działalności politycznej. Co to znaczy „właściwa ocena"? To pojęcie zawiera w sobie dwa założenia: zdolność widzenia zjawisk w świetle ich konsekwencji oraz trafne kryterium ich oceny. Pierwsze założenie sprowadza się do umiejętności, a raczej nabytego nawyku patrzenia perspektywicznego. Jest to refleksyjny namysł — przeciwieństwo impulsywnego reagowania. Ten punkt widzenia charakteryzuje dostrzeganie konsekwencji rozgrywających się zjawisk i podjętych decyzji. W filozofii politycznej jest to dostrzeganie społecznych następstw głoszonych poglądów.

Swego czasu, będąc w Oxfordzie, oglądałem listę najwybitniejszych wodzów świata, którzy — zdaniem autorów — w swych decyzjach uwzględniali najszerszy wachlarz czynników (militarnych, personalnych, politycznych i in.), aby jak najtrafniej przewidzieć konsekwencje podjętych przez siebie kroków. Proszę odgadnąć, kto znalazł się na pierwszym miejscu?

— Chyba Napoleon?

— Niech pan sobie wyobrazi, kolego, że triumfujący bóg wojny usytuował się dopiero na szóstym miejscu. Przed nim znaleźli się w tym rankingu: książę Marlborough, zwycięski dowódca wojsk angielskich i alianckich w wojnie z Ludwikiem XIV, bizantyjski wódz Belizariusz, książę Wellington, Fryderyk Wielki i wreszcie generał Lee, kalkulujący roztropnie nawet następstwa klęski. Nie wiem, czy ta lista ma jakąkolwiek wartość poznawczą, chcę tylko zwrócić uwagę na doniosłość przewidywania w sztuce wojennej. Tym więcej, że Anglików cechował zawsze nadzwyczajny pragmatyzm. Także w polityce. I polityki w równej mierze to dotyczy.

— Jak to należy odnieść do konkretnej sytuacji Polski?

— Niech pan spojrzy, dla przykładu, na otoczenie międzynarodowe naszego kraju. Świat dzisiejszy pełen jest sprzeczności, ale jest to równocześnie jeden świat, pełen wzajemnych powiązań. Wyraźnie zaznacza się dążenie do uzyskania jedności w podstawowych sprawach. Myślę przede wszystkim o militaryzacji, ekologii, zadłużeniu i problemach ludnościowych, które w skali całego globu będziemy musieli wspólnie rozwiązywać. Nie bez kozery tak wiele miejsca we współczesnej dyplomacji zajmują wysiłki rozbrojeniowe. Demilitaryzacja świata może radykalnie zmienić istniejące układy polityczne. Te właśnie zmiany trzeba umieć przewidzieć. Staje się to szczególnie widoczne w Europie. W moim przekonaniu głównie militaryzacja Europy stoi na przeszkodzie budowie europejskiego wspólnego domu. To ona oddziela Europę wschodnią od zachodniej, tworzy bariery i rzuca cień na wszystkie nasze kontakty.

Z chwilą, kiedy Europa przestanie być największych arsenałem świata — idea wspólnoty stanie się naprawdę realna. I to nie jest żadna figura propagandowa. Ona może w bardzo poważnym stopniu wpłynąć na nasz, na przykład, rozwój ekonomiczny czy też ewolucję polityczną. Gdy zniknie europejska zbrojownia, nasz zjednoczony kontynent może się stać uniwersytetem świata XXI wieku. Ludzie przecież są wszędzie tacy sami, zmienia ich jedynie miłość i nienawiść.

Rozmawiał: **Leszek Wiśniewski**

# ADIUNKCI

Dokończenie ze str. 3

plany habilitacyjne, odpowiada: a czy mi się to opłaca? Tym bardziej, że skok finansowy między doktorem a doktorem habilitowanym jest bardzo nieznaczny. To musi działać antymotywacyjnie.

A przecież badania naukowe wymagają czasu, własnych nakładów finansowych, komfortu psychicznego, a przy tym baza materialna, którą dysponuje naukowiec, jest szokująco skromna. Np. pan Adam i ja, jako humaniści, głównym swoim zajęciem uczyniliśmy czytanie książek. Tymczasem przez większość ludzi jest to postrzegane jako przyjemność, i to luksusowa. Tak przecież ludzie mówią: co to za praca, skoro siedzi w domu, czyta książki i jeszcze domaga się za to zapłaty? Przed paroma miesiącami toczyła się dyskusja na łamach „Przeglądu Tygodniowego" między adiunktem z Uniwersytetu Warszawskiego a ówczesnym rzecznikiem prasowym rządu, ministrem Urbanem. I minister zapytał wprost: „Dlaczego domaga się pan większych pieniędzy, skoro pan pracuje parę godzin tygodniowo, czyta sobie książki w domu i jeszcze chciałby pan dużo zarabiać?" Toteż podejrzewam, że decydenci, którzy ustalają siatki płac w nauce, wyrażają w ten sposób tak zwaną „wolę ludu". A przecież w krajach, w których panują w miarę zdrowe stosunki ekonomiczno-społeczne, zawsze praca mózgu — mówiąc krótko — jest oceniana wyżej i opłacana lepiej niż przysłowiowe machanie łopatą.

**Redakcja: — I zapewne dlatego te kraje są normalne.**

**Dr Münch:** — Otóż to. Natomiast drugą sprawą jest drożność w rozwoju kadry naukowej, o czym mówił wcześniej pan docent Korobowicz. Czyli chodzi o normalne przechodzenie stopni naukowych od stażysty do profesora. Aby ta drożność zaistniała, musi być spełnionych kilka warunków. Przede wszystkim powinno istnieć zapotrzebowanie ze strony gospodarki i szkolnictwa na specjalistów wyżej kwalifikowanych, czyli doktorów i doktorów habilitowanych. Tymczasem przemysł jest w dalszym ciągu na etapie łopaty i kilofa, więc po co mu jakiś doktor z habilitacją, który będzie chciał zakładać ośrodek badawczo-rozwojowy. Oświata też takich ludzi nie potrzebuje. A ponadto sprawę komplikuje sytuacja mieszkaniowa. Gdyby kadra mogła się przemieszczać bez kłopotu, problem by nie istniał, gdyż wiele mniejszych uczelni prowincjonalnych cierpi na brak kadry.

Ale są jeszcze dodatkowe aspekty. Otóż przestudiowałem sobie dokładnie tekst ustawy, znowelizowanej w 1985 roku. Wynika z niej jasno, że jeśli ktoś w ciągu dziewięciu lat nie rozpocznie postępowania habilitacyjnego, zostanie wyrotowany. Ale teraz, jeżeli mamy w Polsce około 22 tysięcy adiunktów i gdyby nawet założyć, że połowa z nich napisze prace habilitacyjne, to rady wydziałów nie zdążą, z powodów czysto technicznych, przeprowadzić postępowania habilitacyjnego. Nawet gdybyśmy przyjęli, że te habilitacje powstaną i zostaną obronione, to i tak dla tych ludzi zabrakłoby stanowisk docentów. I to tylko ze względów wyłącznie dydaktycznych, gdyż trudno wyobrazić sobie zakład, gdzie byłoby pięciu docentów, dwóch adiunktów i jeden asystent. A zatem stworzyło się błędne koło.

**Redakcja: — O co zatem chodzi naprawdę?**

**Prof. Cackowski:** — Autorzy ustawy oczywiście brali pod uwagę te wszystkie problemy, o których wspomniał dr Münch. Jest rzeczą naturalną w zdrowym organizmie uczelnianym, że część osób, które podejmują pracę na stanowisku adiunkta, po pewnym czasie z uczelni odchodzi.

**Redakcja: — Ale, powiedzmy szczerze, nie tylko z powodu mizerii intelektualnej.**

**Doc. Korobowicz:** — Na pewno część odejdzie z powodu, jak pan to mówi, mizerii umysłowej. I to by był naturalny odpływ, który jest zjawiskiem najzupełniej normalnym. Ale nie tylko ci odejdą, i właśnie dlatego siedzimy przy tym stole i dyskutujemy. Po prostu autorom ustawy zabrakło w pewnym momencie wyobrani, że proces rotacji adiunktów, w momencie upływu terminu, może przybrać postać tak globalną. Są na przykład ludzie całkiem nie mizerni intelektualnie, którzy wyłącznie ze względów materialnych znakomitą część swojego nienormowanego czasu pracy muszą poświęcać na masę dodatkowych zajęć zarobkowych, żeby utrzymać rodzinę na poziomie minimum socjalnego.

Po ostatnich podwyżkach docent — a ile trzeba lat, żeby zostać docentem? — zarabia 90 tysięcy złotych. Trudno się zatem domagać, aby w tej sytuacji nie był przedmiotem kabaretowych rozrywek. Przecież żadna ekspedientka w sklepie nigdy nie uwierzy w taką pensję, gdyż sama zarabia dwa razy więcej. Najpierw zatem problem przez czterdzieści lat stawiano na głowie, a dzisiaj chce się go załatwić jednym przepisem, który jest suchy i lakoniczny jak każdy ustawowy przepis.

**Redakcja: — Ustawa załatwia więc sprawę jednorazowo i za parę lat ten sam problem znowu się powtórzy. Czy tak?**

**Doc. Korobowicz:** — Jeśli będzie takie samo tempo zdobywania stopni naukowych doktora habilitowanego, to w roku 1992 staniemy przed problemem około 200—300 następnych adiunktów, którzy zostali mianowani po roku 1982. Ja z uporem wracam do tego, że mamy problemy z zatrudnianiem stażystów. Zgadzam się z rektorem, że nie mamy etatów, bo nie mamy drożności, ale — magnificencjo — my nie mamy też chętnych i czasami musimy urządzać łapanki na stażystę.

**Dr Witusik:** — Ja natomiast uważam od dawna, że sprawa adiunktów jest sztucznie wywołana. Istnieje tylko problem złych bądź dobrych pracowników naukowych. Dotyczy to wszystkich kategorii, z profesorami włącznie, i taka jest prawda. Rotacja jest potrzebna, to oczywiste. ale rotacja wszystkich pracowników naukowych, łącznie z docentami i profesorami. Odczucie społeczne jest przecież takie, że nasze uczelnie są złe, ponieważ za mało dają dla społeczeństwa i gospodarki narodowej. Może nie jest to jeszcze tak ostro artykułowane, ale coraz częściej o tym się słyszy. Natomiast my zastanawiamy się ciągle nad sprawami wewnętrznymi, jakby uczelnie były strukturą zamkniętą, hermetyczną i odizolowaną od społeczeństwa i państwa. Dlatego sprawę awansu tak rozumiem: awans za pracę, a nie praca dla awansu. To jest podstawowa sprawa. Oto liczymy np., niech mi pan rektor wybaczy, ile będzie nowych habilitacji...

**Dr Münch:** — Praca naukowa wyłącznie dla awansu to problem poważny.

**Dr Witusik:** — Ująłbym tę sprawę tak. Oto np. habilituje się specjalista od minerałów a problem barwników leży odłogiem, chociaż jest nie rozwiązany i na prace z tej dziedziny czeka przemysł. W takim razie ów chemik powinien, moim zdaniem, zająć się właśnie barwnikami, a pracę nad minerałami przerwać.

**Prof. Cackowski:** — Co też pan opowiada, panie doktorze?!

**Dr Witusik:** — To samo dotyczy nauk humanistycznych. Np. historyk zamiast zajmować się sprawami mało znaczącymi dla nauki i kultury, powinien pracować nad tematami, które wzbudzają zainteresowanie społeczne i wywołują rezonans w środowisku naukowym (dla przykładu: odsiecz wiedeńska, zwycięstwo grunwaldzkie, dzieje cywilizacji w Polsce).

**Prof. Cackowski:** — Gdybyśmy byli w szkole, powiedziałbym: niech pan siada, dwója! Otóż, panie Adamie, nie można tak! Uczelnia ma oczywiście obowiązek reagować na potrzeby — powiedzmy — praktyczne i doraźne. Ale przede wszystkim ma obowiązek pilnować, żeby zawsze, niezależnie od aktualnych, koniunkturalnych potrzeb, byli ludzie, którzy zajmują się tym, czym się zajmują, jeśli mają efekty badawcze. Inaczej: jeżeli mamy rocznicę Grunwaldu, to ja byłbym skończonym durniem — przepraszam! — gdybym jako rektor powiedział: wszystkie siły dla Grunwaldu. A później przychodzi rocznica odsieczy wiedeńskiej i co? Znowu mam nakazać wszystkim, aby zajmowali się tym tematem? Nie wolno tak, panie Adamie!

**Dr Witusik:** — Wolno, panie rektorze i należy!! Bowiem tylko koncentracja sił i środków daje zamierzone efekty! Tak robią np. na Zachodzie i mają wyniki. To głównie my od nich kupujemy licencje...

**Dr Münch:** — Ludzie powiadają, że trudniej u nas zmienić tabliczkę z nazwą ulicy niż konstytucję. Wszystkie zmiany legislacyjne robione są u nas naprędce. Jeżeli zatem myślimy o nowelizacji obecnej ustawy o szkolnictwie wyższym (a uważam, że nowa ustawa nie jest potrzebna), to trzeba wiedzieć, że środowisko adiunktów, które jest środowiskiem najliczniejszym na wyższych uczelniach, nie ma możliwości artykułowania swoich poglądów.

**Prof. Cackowski:** — Będę bronił zasady rotacji adiunktów, ale nie wykluczam, że moje stanowisko zostanie stłumione, przekreślone. Ja naprawdę chcę, aby ci najlepsi, ci dobrzy i zbliżeni do dobrych — awansowali. Ale żeby jeden awansował, inny musi odejść, gdyż autentyczny awans związany jest z tym, że ktoś inny awansować nie może.

**Doc. Korobowicz:** — Panie rektorze! Adiunkt, który jest trzy miesiące po doktoracie, nie potrafi dać tyle studentom, co ten, który zrobił doktorat sześć lat temu. Popatrzmy pod tym kątem.

**Prof. Cackowski:** — Ale adiunkt, który jest trzy miesiące po doktoracie, jest zarazem dziewięć lat i trzy miesiące od rozpoczęcia pracy na uniwersytecie. Powiedzmy: siedem, osiem lat. On nie jest przecież nowicjuszem. Jeżeli więc mamy dyskutować rzeczowo, to powiedzmy o tym, co mówił pan dr Witusik, mianowicie, że trzeba oceniać wszystkich. Porozmawiajmy zatem, jak u nas jest z krytyką naukową. Jak to się dzieje, że odważna ocena profesora, docenta czy adiunkta traktowana jest jak jakieś kuriozum?

**Doc. Korobowicz:** — To, co powiedział pan rektor, potwierdza moją hipotezę, że nie tyle jest ważny problem adiunktów, ale to wszystko, co do tego problemu doprowadziło. A głównie niebezpieczne jest, że przykładamy jedną, tę samą miareczkę do wszystkich bez wyjątku. Uważam bowiem także, że część adiunktów powinna zostać, jak to mówimy żargonowo, ustabilizowana. To znaczy powinni oni zostać na uczelni, chociaż nie zrobią habilitacji. ponieważ są doskonałymi dydaktykami, wychowawcami, a często i wzorami dla młodzieży. Takie podejście wymaga jednak, aby sytuacja każdego adiunkta była badana wnikliwie i rzetelnie i aby nie stosowano automatycznie rotacji, jeżeli doktor nie zrobił habilitacji w ciągu dziewięciu lat. To by było pierwsze, doraźne rozwiązanie problemu adiunktów. A potem spokojnie, proszę panów, naprawdę spokojnie, niech to trwa rok czy dwa, zastanówmy się nad rozwiązaniem systemowym. Ale zróbmy to niezwykle starannie, z wysłuchaniem różnych opinii, uwzględnieniem różnych opcji i interesów środowiskowych.

**Dr Witusik:** — I zmienić ustawę?

**Doc. Korobowicz:** — Nie, nie chodzi o zmianę ustawy. Należy zmienić system, a ustawa ma być tylko zewnętrznym, legislacyjnym potwierdzeniem tej zmiany. Tymczasem w środowisku nie mówi się: zmienić system. Od „Solidarności" do uczelnianych czy wydziałowych organizacji partyjnych mówi się tylko o zmianie ustawy. A co znaczy w naszych warunkach zmiana ustawy? Znaczy: powierzchowność, szybkość i...

**Redakcja: — Byleiakość?**

**Doc. Korobowicz:** — Oczywiście, gdyż u nas: szybko, znaczy: byle jak. I znowu będziemy mieli jakiś „gniot". A ustawa powinna być ostatnim elementem zmiany systemu, aby problem, o którym tu dyskutujemy, więcej się nie pojawił.

**Redakcja: — Czy miałby pan w tej mierze jakieś propozycje?**

**Doc. Korobowicz:** — Należy zastanowić się nad takimi bezpiecznikami, które pozwoliłyby wrócić do dobrej, akademickiej tradycji, że rady wydziałów nadają stopień doktora i doktora habilitowanego i są w tej mierze organem decydującym ostatecznie. Znaleźć więc należy i takie metody, które nie pozwolą funkcjonować temu wszystkiemu, o czym mówił pan rektor. To znaczy grzecznościowym recenzjom, układom i kumoterstwu, strachowi, że się kogoś źle oceni lub się komuś narazi itd. Co tu bowiem dużo gadać: organa kontrolne nad szkolnictwem wyższym w sensie oceny jego działalności merytorycznej są narośla, która powstała dlatego, iż poziom doktoratów i habilitacji uległ poważnemu obniżeniu. Zastanówmy się zatem, jak ten system wyczyścić z rozlicznych sztucznych narośli, a wtedy za parę lat nie będzie problemu adiunktów. Będzie normalny, naturalny rozwój naukowy i naturalna rotacja kadry.

**Prof. Cackowski:** — Wybaczcie panowie, że jestem tak napięty w tej dyskusji, ale widzę, że gdyby mnie nie było przy tym stole, to wszyscy byliby zgodni.

**Doc. Korobowicz:** — Niekoniecznie. Przecież moje zdanie jest w tej mierze identyczne: uważam, że ci, co nie mają odpowiedniego dorobku, muszą pożegnać się z pracą na uniwersytecie.

**Prof. Cackowski:** — Mimo to jestem zrozpaczony atmosferą niechęci do przejrzystych kryteriów merytorycznych w ocenie kadry. Od lat chyba trzydziestu my zawsze mamy powód, aby zwalać winę na jakieś zewnętrzne trudności, kłopoty, braki i tak dalej. I zawsze możemy powiedzieć — to nie nasza sprawa.

**Doc. Korobowicz:** — A czy te trudności są wyimaginowane?

**Prof. Cackowski:** — Przecież mówię, że nie...

**Doc. Korobowicz:** — A czy twórcą tych trudności jest środowisko akademickie?

**Prof. Cackowski:** — Nie, oczywiście, że nie. Dlatego powtarzam: i płace są rzeczywiście haniebne, i wyposażenie szkół wyższych jest naprawdę niedobre, a mimo to powinniśmy mieć siłę, aby powiedzieć otwarcie, że nie będziemy tolerować na uniwersytetach nieróbstwa i miernoty.

**Dr Witusik:** — Jest to rozwiązanie proste, jeżeli spojrzymy na problem pod kątem stałego dopływu i odpływu kadry naukowej. Bo jeśliby były tylko etaty, a na dane stanowisko: profesora, adiunkta czy docenta angażowano na lat, powiedzmy, pięć, a po tych pięciu latach angaż trzeba by było odnawiać na drodze konkursu, to wówczas nie ma żadnego problemu ani z jakością doktoratów, ani problemu adiunktów, ich rotacji i stabilizacji.

**Prof. Cackowski:** — Proponuje pan zatem znieść habilitację?

**Dr Witusik:** — Tak jest. Pisanie oprócz doktoratu jeszcze jednej pracy warsztatowej — habilitacji — jest zbędne. Czas ten należy już spożytkować na rozwiązywanie tematów ważnych z punktu widzenia gospodarki i kultury narodowej. Postępowanie obecne to rozrzutność. Proponuję więc podwyższenie progu uzyskania doktoratu, a potem konkursy i konkurencję między doktorami. Kto z nich wygrywa konkurs na stanowisko profesora, zostaje na pięć lat profesorem. Jeżeli po pięciu latach przegra kolejny konkurs, przestaje być profesorem. Jeśli dziś reformujemy państwo w kierunku konkurencji, to nieodzowne byłoby wprowadzić ją i w uczelniach.

**Doc. Korobowicz:** — Obawiam się, że przy tym poziomie doktoratów, jaki mamy od lat, zniesienie habilitacji byłoby całkowitą klęską naszej nauki.

**Dr Münch:** — I w ten sposób wróciliśmy do problemu obiektywnych, merytorycznych kryteriów i do krytyki naukowej, takiej, jak powinna być rozumiana. Przecież owocem każdego kryzysu jest rozbudowa organów kontrolnych i biurokratycznych. Tak jak powiedział pan docent: jeżeli są słabe doktoraty, pojawia się nadbudówka w rodzaju CKK, która musi te doktoraty kontrolować, aby nie upadły do poziomu prac magisterskich czy maturalnych. Jeśliby więc zgodzić się z poglądem pana Witusika, że należy znieść habilitację, to należałoby najprzód zastanowić się, czy istnieją ku temu warunki, czy istnieje u nas obiektywna, zdrowa krytyka naukowa. Sami panowie wiecie, jak wiele jest doktoratów słabych, przyczynkarskich. A ile jest przypadków w skali uczelni, że rada instytutu takiego doktoratu nie przyjęła? Takich przypadków jest tak mało, że natychmiast przechodzą one do legendy. Zdarza się jeszcze, że promotor nie przyjmie doktoratu, zdarza się, że recenzenci odrzucą pracę...

**Prof. Cackowski:** — Ale to jest... hm... prawie przestępstwo... [śmiech]

**Dr Münch:** — A teraz szczebel wyżej: ile jest niejednogłośnych habilitacji na szczeblu rady wydziału? I teraz można by zapytać, ile tych niejednogłośnych werdyktów wynika z kryteriów merytorycznych, a ile z powodów pozamerytorycznych. W ilu np. wypadkach chodzi o to tylko, żeby kogoś „zablokować"? A w ilu wypadkach sytuacja jest odwrotna? To znaczy praca jest słaba, ale rada wydziału ją przyjmuje? Wtedy odrzuca ją CKK, a na uczelni jest wstyd i są plotki.

**Prof. Cackowski:** — Eeeech...

**Doc. Korobowicz:** — To są przyczyny, które tkwią w samym środowisku akademickim.

**Dr Münch:** — A nawet dotykamy w ten sposób etosu pracownika naukowego.

**Prof. Cackowski:** — A czy myślicie panowie, że w naszym środowisku słabizna intelektualna czuje się źle?

**Dr Münch:** — Bardzo dobrze się czuje, bardzo dobrze....

**Prof. Cackowski:** — No to sami widzicie!

Opracował:
**Andrzej W. Pawluczuk**

# JAN I BAZYLI: DWIE PRAWDY

## Wiesław Horabik

JAN Korybski — lat 89. Wieś Rowiny, województwo Biała Podlaska, Rolnik.

„Szanowny Panie Redaktorze. Przyjedźcie na miejsc zobaczycie jak ja żyję, wszystko mi okradli. Ostatnie Kalesony Ciepłe, śpie w Swetrze i waciakach i niemam podczym spać i nakryć się..."

Pana Jana spotkałem przypadkowo w Gdańsku. Przyjechał poskarżyć się Lechowi Wałęsie. Sobie tylko wiadomym sposobem ustalił prywatny adres przywódcy „Solidarności", wykupił bilet i wyruszył w długą, wielogodzinną podróż. Pan Jan jest w ogóle w ciągłych rozjazdach. Niemal codziennie można go spotkać na przystanku w Rowinach. Coraz rzadziej jego misje kończą się sukcesem, a jednak co rano zjawia się przy głównym trakcie. Czy tylko żal pcha pana Jana w Polskę? Wozi ze sobą pierzynę jako symbol synowskiej przewrotności. „Dosypali mi stuletniego pierza i o, jaka zrobiła się cienka" — mówi. Sąsiedzi twierdzą, że ta pierzyna przewędrowała więcej świata niż niejeden turysta.

*Bazyli Albiczuk — lat 80. Wieś Dąbrowica Mała, województwo Biała Podlaska. Malarz.*

*„Urodziłem się w polu, gdy matka żęła żyto. Do tego faktu przywiązuję ogromne znaczenie. To było pierwsze wskazanie natury. Nie lubię wojen, batalii i chaosu moralnego. Jeśli człowiek utraci harmonię z przyrodą i samym sobą, może utracić godność..."*

Wówczas, w Gdańsku, pod obrazem Matki Boskiej pan Jan odczytywał gęsto zapisane notatki. „4.X.82 ja zostałem pobity. 17.III.83 synowa pobiła w głowę żonę. 16.IX. syn pobił matkie. 14.XI. ukradli trzy sztuk dywanów, trzy prześcieradła, jedne waciaki ciepłe, nowe, trzy obrusków, trzy kalesonów, ciepłe, nowe".

„Tylko wy możecie mi pomóc! — wołał do sekretarki. — Ja z Piłsudskim walczyłem przeciw bolszewikom".

Pan Jan jest już bardzo znany. Uprzednio był u władz centralnych w Warszawie. („Bo ja też budowałem Polskę Ludową" — mówi). Widziano go wielokrotnie na salach rozpraw sądów rozmaitych instancji. Opisało go także „Słowo Podlasia".

*Zanim trafiłem do Dąbrowicy, obejrzałem obszerne reportaże o panu Bazylim w „Spieglu" i „Sternie". Przeczytałem także o nim w przedmowie do książki. „O Dąbrowicy Małej, podlaskim siole, do którego nawet dojechać trudno, wie się dziś w Republice Federalnej Niemiec, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej itp. A to za sprawą Bazylego Albiczuka, rocznik 1909, chłopa z rodziny prawosławnej, który oddał grunta państwu, sobie zostawił tylko niewielki ogród, gdzie hoduje kwiaty, krzewy i byliny rzadkiej piękności, i wziął się do malowania owego ogrodu w różnych porach dnia i roku" (M. Podgórski. Wstęp do „Podlasie w fotografii Waldemara Stępnia". KAW. Lublin 1983).*

Przed kilku laty pan Jan oddał gospodarstwo synowi. Początkowo zostawił sobie jeszcze dwa hektary, ale później i tego się pozbył. Poprzednio żyli z synem w zgodzie. Pan Jan jeździł po urzędach, syn i synowa pilnowali gospodarki. Wówczas procesował się pan Jan tylko z zięciem, a jeszcze wcześniej z sąsiadami. Ktoś obliczył że w ciągu swego długiego życia odbył 38 procesów. Ale najbardziej lubił pan Jan zarządzać. (Przed wojną i w czasie okupacji był sołtysem). Lubił ubrać się w świąteczny garnitur i wytargować choćby traktor „z przydziału". Pierwsze ukłucie strachu poczuł, gdy wyemigrował z domowego salonu do małego pokoiku. Nie szło tu jednak o sam akt formalnej degradacji, ale przede wszystkim o to, że jego głos przestał się liczyć. W długie dni i długie noce przyszło się uczyć zgody z samym sobą. Szukać pokory i harmonii.

*Przed domem pana Albiczuka rosną wysokie, słodkie kwiaty. Piękny murowany budynek wystawił pan Bazyli z honorariów, które dziś idą w tysiące dolarów. Okno w jego pracowni czerni się jak dziura po zębie; w pozostałych wiszą czyste, sute firanki. Panuje tu artystyczny nieład. Na sztalugach rozpina się szorstkie płótno, na podłodze poniewierają się pędzle i farby. Drobnym pismem zapełniono wąskie kartki papieru; to opisy różnych roślin i krzewów. „Nie jestem bardzo religijny — mówi gospodarz, zapraszając nas do środka. — Wolę być odrobinę bardziej wolny. Pociąga mnie buddyzm ze swoją pokorą i harmonią".*

*Ludzie, przechodząc obok domu pana Bazylego, kłaniają się mu; nawet dzieci śmigające na rowerach.*

Przed domem pana Jana stoi ogromny, żelazny krzyż. Sam go wzniósł. „Jezu, umacniaj naszą wiarę". Inny, mniejszy, drewniany nosi pan Jan mocno zaciśnięty w dłoni na okoliczność potwierdzania przysięgą wypowiadanych prawd. Piękny, murowany budynek pobudował jeszcze pan Jan za swoich gospodarskich czasów. Tylko okno jego pokoiku czerni się jak dziura po zębie; w pozostałych wiszą czyste, sute firanki. Gospodarz nie zaprasza nas do środka. Od czasu, gdy rozbuchał się rodzinny konflikt, dający zatrudnienie dziesiątkom instytucji i niosący pośmiewisko Rowinom, pokoik pana Jana wygląda jak spalona część domu, jak przytułek dla niepotrzebnych. Panuje w nim nieład, bałagan i brud. Ludzie, przechodząc obok, odwracają głowy. Jadący drogą sołtys nie mówi: „Dzień dobry". Uśmiecha się.

*„Gdybym miał przeżyć jeszcze jedno życie, też bym malował. Od początku, od chwili, gdy pamiętam siebie, wyjmowałem węgiel z pieca i rysowałem; kreśliłem także patykiem na ogrodowych ścieżkach. Bywa, że nagle coś uchwyci mnie żalem za serce. Gdybym wtedy nie mógł wyrazić siebie, nie potrafiłbym żyć. Człowiek, który nie tworzy, przemienia dar życia w klęskę, a radość w cierpienie".*

„Syn wszystko podkupił i Sądy. Biała i Lublin. Ani adwokata nająć. Nie chce stanąć i Biała i w Lublinie. Opłate zrobiłem 9 750 zł i do Lublina to samo. Lublin mi umorzył jeszcze za koszta sądowe komornik ściągał z renty, tak się robi w całej Polsce. Ale jest wszystko załadowane, tam jest w gazecie 390 tysięcy komu dał. Jeszcze nasrać we wiadro woda żeby je jadł i pił i ich łajno..."

Gdyby pan Jan żył w kraju emeryckich klubów, klubików, stowarzyszeń, niejedną jeszcze drogę wybudowano by z jego inicjatywy, niejeden dzik padłby od strzału myśliwca-seniora. Pan Jan nie lęka się bowiem szczęku oręża; jest twardym człowiekiem, dawnym żołnierzem. Ma w sobie tyle energii, że mógłby jej użyczyć wielu młodym. Jednego tylko talentu pan Jan nie posiada — kwalifikacji na rencistę. Jest jak teksańscy pionierzy, jak Boryna chcący dzierżyć wszystko krzepką ręką aż do ostatecznego końca. Dlatego trwoni życie na kłótnie i swary. Gdyby pan Jan potrafił malować, być może i do niego przyjeżdżaliby zachodni pośrednicy. Tylko ko-

# PORY ROKU BAZYLEGO ALBICZUKA

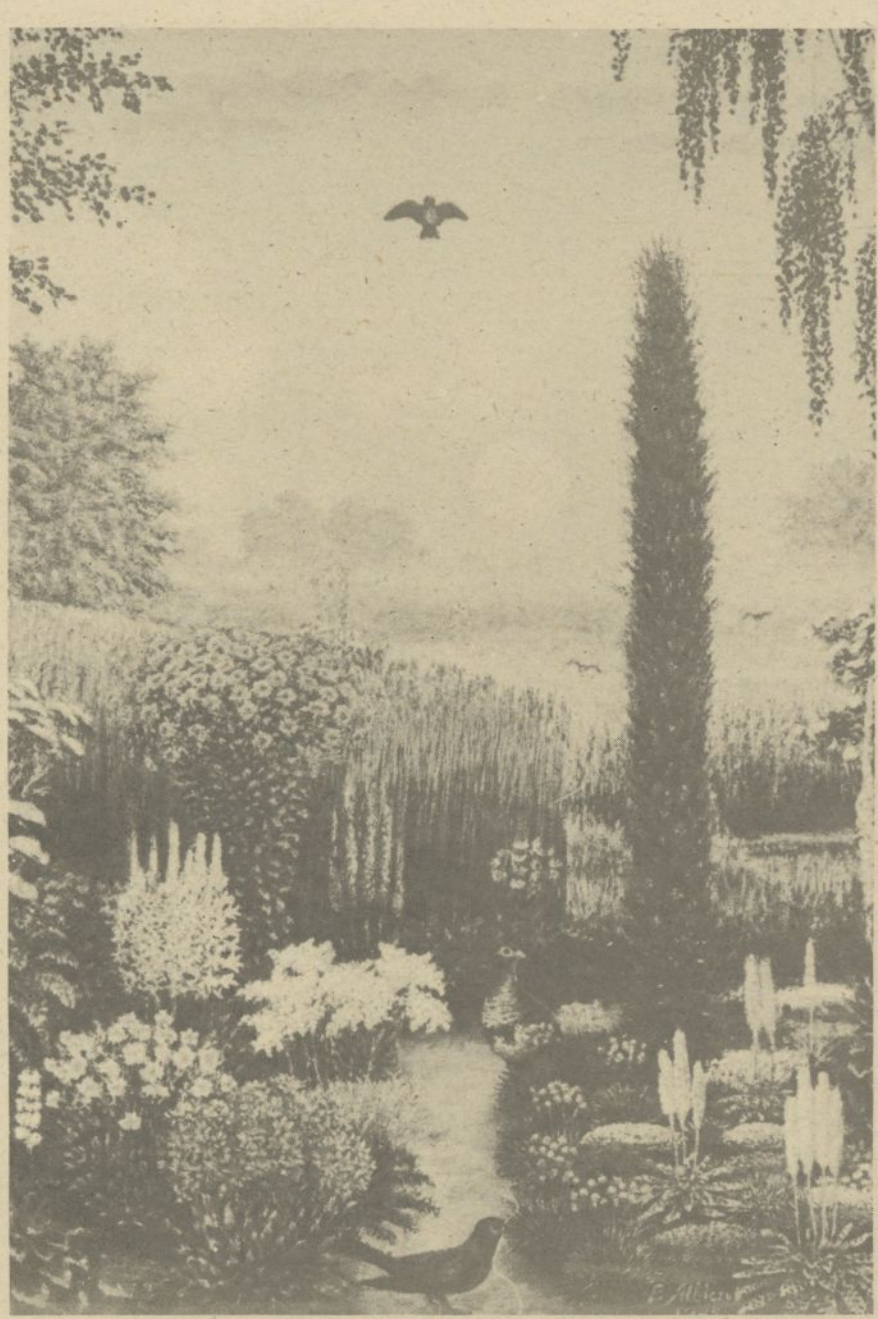

Jan Korybski

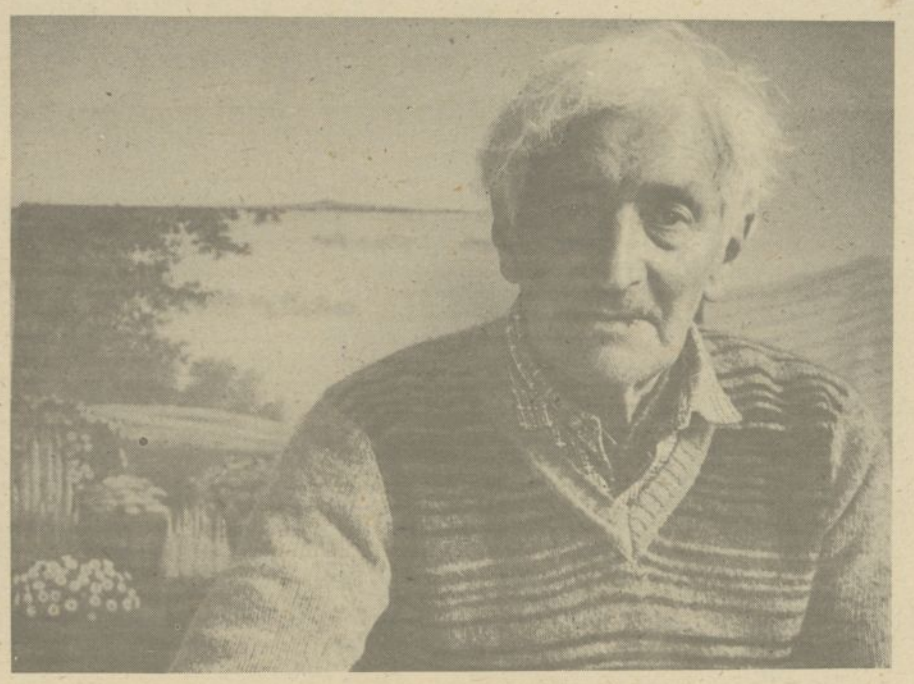

Bazyli Albiczuk

lory na obrazach byłyby ostre, a ludzkie postacie kanciaste.

*„Chodzę po łąkach i nad jeziorami i obserwuję rośliny i ptaki. Sztuka musi być prawdziwa, nie może być działaniem dla efektu. Ja bardzo przeżywam naturę; nawet moje choroby nie mają źródła we mnie, lecz biorą się z niej. Mam takiego przyjaciela skowronka, który przylatuje wiosną i wraz ze mną spaceruje po ogrodowych ścieżkach..."*

*Pasja pana Bazylego jest cicha, przyjazna ludziom i światu. Rozpala się w kolorach, w łagodnym spadku terenu, w cichym zachodzie słońca. Pan Bazyli przebył kampanię wrześniową jako saper, ale na wojnie nie zostawił serca. W sowchozie niżnieńskiej obłasti pracował w ogrodzie i utrwalał twarze ludzi i sylwetki drzew. Potem znów trafił na front, by czym prędzej uciec z odmętu w spokój rodzinnej wioski.*

*„Jestem wolny jak ptak — mówi — ale to właśnie bym odmienił. Tylko tę samotność wymazałbym ze swego życia".*

O panu Janie mówią, że ma siłę przebicia. Jest swoistym ambasadorem żywotności. Pasja pana Jana nie jest kreatywna. Gdy procesował się z zięciem, z siedmiu krów pozostała tamtemu jedna. Przepychanka z synem kosztuje już bez mała pół miliona złotych. Kiedy pytam, czemu nie przeniesie się do córki, z którą żyje teraz w zgodzie, od razu wiem, że to złe pytanie.

— Bo mnie tam niewygoda — odpowie.

Dom, przed którym stoimy, wybudował przecież sam.

Zanim rozjazgocze się kłótnia pana Jana z synową, po zielonym trawniku przebiegnie stadko pięknych, wolnych koni (hoduje je pan Józef Korybski). Gniew synowej będzie żywy, zapiekły; poniesie się w głąb podwórka. Pan Jan tymczasem podejdzie do nas i cicho zaproponuje zwrot kosztów za benzynę. Zobaczę wówczas w jego oczach iskierki rozbawienia; jak wtedy w Gdańsku, jak później w redakcji, jak nieraz jeszcze zapewne w przyszłości. Wyjazdy pana Jana są bowiem podróżami businessmana. A śmierć? Póki co, wydaje się tak bardzo odległa.

*„Ja jestem tylko człowiekiem etycznym, moralnym. Nie boję się śmierci. Nie ma wobec niej alternatywy, więc trzeba zawrzeć z nią pakt. Kiedy musiałem poddać się operacji, uśpienie przed zabiegiem traktowałem jako jej próbę. Do obu tych zdarzeń przygotowywałem się podobnie. Może śmierć to także nowa przygoda? Nie czułem nic. Tylko jakąś lepkość i słodkość. Wiem, że kiedy przyjdzie, będę gotowy. Ale jeszcze nie zrobiłem wszystkiego. Pozostało mi jeszcze wiele obrazów do namalowania".*

„Teraz chcę wystąpić do Sądu Najwyższego, aby unieważnić uwłaszczenie syna. Musiałem uciekać z domu. Wczoraj spałem u sołtysa. W odzieniu. Na kurtce. Do pułkownika z Głównej Inspekcji Terenowej przekazałem pismo, że syn pije alkohol... Przed naszym komendantem zdjąłem spodnie..."

●

Kiedy pytam czasami ludzi, na ile wystarcza im zwykłe życie od niedzieli do niedzieli, często odpowiadają, że o tym nie myślą. Dlatego pana Albiczuka opisał „Spiegel" i „Stern", a pana Korybskiego „Słowo Podlasia".

Tylko lęk przed samotnością pozostaje ten sam, bowiem wszyscy ludzie są równi.

# FOTOGRAFOWAŁ WALDEMAR STĘPIEŃ

# TY I TAK WYGLĄDASZ NAJDOSTOJNIEJ

Dokończenie ze str. 1

Ale dobrze pamiętam, co ludzie opowiadali o Christiansie, prezesie Zarządu Lubelskiego PCK. Mówili, że się obłowił. Psy na nim wieszali po wojnie. Nikt mu nie pamiętał, ilu ludzi wyratował. Zmarł w wielkiej nędzy, proszę pani.

— Ludzka wdzięczność... Ty mi to, a ja ci tamto. Coś za coś. Ale w pani zawodzie albo misji raczej, wtedy zwłaszcza, podobnie myśli byłyby chyba absurdalne...

— Jasne, że nie liczyłam na czyjąś wdzięczność. Żeby mi ktoś do śmierci pamiętał... Pomoc innym była tak naturalna jak to, że człowiek się rodzi, a potem umiera.

NA dworcu zatrzymał się kolejny transport bydlęcych wagonów, z upchaną masą żywej siły roboczej przeznaczonej do pomnażania potęgi Rzeszy. Niemieccy konwojenci otworzyli drzwi wagonów. Masa poruszyła się, żeby zaczerpnąć powietrza. Anna zobaczyła poszarzałe od duchoty twarze, pytające oczy. Z miednicą pełną kromek chleba wyruszyła ku wagonom. Za nią pobiegli mali gazeciarze, żeby obdzielić mężczyzn darmowymi papierosami. Anna szła wzdłuż torów, rozdając po kawałku chleba, którego i tak dla wszystkich nie starczyło. Ludzie wyciągali ręce nie tylko po chleb. Wciskali Annie grypsy. Chowała je za obszerną żorżetową bluzką z gumką w pasie. Gdy w ambulatorium wytrzepywała zwitki papieru, w bezpieczne miejsce, za kubłem na odpadki, weszli Niemcy „Co pani wzięła?!" — wrzasnął jeden z nich, popychając Annę ku ścianie. „Nic" — odpowiedziała, siląc się na konieczną w takich przypadkach stanowczość. „Nic? — nie dowierzali. — Rozbieraj się!". Rozebrała się. Do naga. Jak kazali. Oczy esesmanów, nagle zmętniałe, rozbiegły się po jej nagości. „To nic — siliła się na spokój. — To jeszcze nic". Wtedy wszedł komendant dworca. Warknął coś do Niemców, jej kazał się ubierać. „W czepku się urodziłam — pomyślała, ocierając zimny, lepki pot zalewający jej twarz. — Grypsy! — śmiała się w duchu. — Grypsy ocalały!"

Była łącznikiem między Zarządem Głównym Czerwonego Krzyża w Warszawie a Lublinem. Woziła wypłaty, leki, bibułę, legitymując się, w razie potrzeby, ausweisem nr 95 z nadrukiem „Polnisches Kreuz, Warschau, Smolna 17". Ale tego grudniowego, zalanego deszczem dnia ausweis nie był jej potrzebny. Drżąc z zimna, czekała na warszawskim dworcu na pociąg do Lublina. Deszcz zacinał, mokry ziąb wciskał się przez cienkie paletko każdą szparą. Wreszcie przyjechał pociąg. Na korytarzach i w przedziałach było pełno. Anna stanęła w kącie, marząc o kubku domowej herbaty. Nagle z przedziału wychodzi dwóch z Wehrmachtu i zaprasza ją do środka. Anna mówi, że skorzysta z zaproszenia, przedtem jednak pójdzie do toalety. Ściągając z głowy mokry beret, zaczęła przeciskać się ku końcowi wagonu. Weszła do toalety i zanim zdążyła zamknąć za sobą drzwi, wszedł za nią jeden z tych grzecznych. Bełkotał coś niezrozumiale. Potem zdarł z niej palto i bluzkę. Skamieniała. „O Jezu... — zadławiła się tą najgorszą myślą. — Zaraz umrę..." Niemiec rozgniatał jej piersi. Czuła ostry zapach potu pomieszany z wonią uryny, którą śmierdział klozet. Omal nie zwymiotowała. Resztką sił zdołała odepchnąć go od siebie. Zatoczył się ciężko, zaskoczony oporem. Ale znów przypadł do niej, rozciągnął boleśnie ręce. Kopnęła. Wtedy wyjął sztylet. Taki zgrabny, pamięta, błyszczący sztylet z gładko wypolerowaną rękojeścią. Sztylet przeciął jej pierś. Zmartwiała. „To koniec — pomyślała. — Tak wygląda koniec?..." — zawyło w niej pytanie. I zaczęła się modlić: „Matko Boska, ratuj!". Do dziś Anna nie wie, jak to się stało. Odepchnęła Niemca, chwyciła palto i otworzyła drzwi. Na korytarzu czekała już kolejka. Właśnie ruszyła lokomotywa. Nie wahając się, Anna wypadła z pociągu.

JEST takie zdjęcie: przy długim stole siedzą kobiety. Twarze upozowane do fotografii, ręce zajęte pracą. Robią paczki dla więźniów Zamku i Majdanka. W paczkach — chleb, masło, trochę cukru. Dwa razy w tygodniu konny ambulans czerwonokrzyski wjeżdżał na zamkowy dziedziniec i zatrzymywał się przed magazynem. Paczki odbierali dyżurni więźniowie. „Raz pamiętam, jak przyjechałam z paczkami, to zwrócił moją uwagę więzień wyglądający przez okienko celi przy bramie — przypomina sobie Anna Ostrowska. — To był Niemiec. Podobno baron i komunista. Zagadał do mnie po niemiecku, że też chciałby taką paczkę. Czy to Ruski, czy to Pruski — pomóc trzeba — pomyślałam sobie i, nie oglądając się na nikogo, próbowałam pocelować zawiniątkiem w okienko. Ale nie trafiłam. Paczka upadła w ścick. Chciałam już zrezygnować, a on mi mówi, że to nie szkodzi. Zje i mokre. Rzuciłam jeszcze raz. Paczka trafiła do celu. Mówię pani, jaki był szczęśliwy... Postanowiłam już zawsze mu coś podrzucać, uzgodniłam to z Christiansem, ale gdy za kilka dni znów wjechałam na dziedziniec, mojego nowego podopiecznego już nie było w okienku. Baron kaput — ktoś mi szepnął".

W październiku 43 w Biłgorajskiem rozszalał się tyfus. Czerwony Krzyż pospiesznie kleił prowizoryczne punkty sanitarne i szpitale. Annę skierowano na wieś. Miała pomagać nie tylko ludności cywilnej, ale i partyzantom. Pewnej listopadowej nocy odwiedził ją oddział „Zapory", żeby zbadać — co za jedna. Spotkała w nim brata ciotecznego swojej koleżanki. Uściskali się serdecznie. Partyzanci przyszli i poszli, zostawiając po sobie wszy. Potem woziła do lasu leki. W tym samym celu podróżowała w Chełmskie.

8 maja 44 roku otrzymała polecenie służbowe: dwunastu ludzi z transportu jadącego do Rzeszy trzeba odwieźć do szpitala Jana Bożego. Rozpoznanie: tyfus plamisty. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że to nie choroba, a akcja ratunkowa. Z urzędowym dokumentem zawiozła ich Anna do szpitala. O dalszych losach dwunastu z Kowla nic nie wie. Czy żyją jeszcze?

Geniek i Eda, sanitariusze - powstańcy z punktu przy Kawęczyńskiej w Warszawie, nie żyją na pewno. Wtedy, gdy samoloty podpalały niebo jak pochodnię, oni biegli z noszami do rannych. To było na Wiosennej 3. Nie wrócili, mimo że przeżegnani krzyżem przez Annę, Marysię i Halinę, zapowiedzieli, że zaraz wrócą. Anna z doktorem Kuleszą obejmowali potem martwe, poszarpane pociskiem ciała kolegów. Annie wydawało się, że Eda oddycha, że jego serce bije. Potrząsała nim z uporem, jakby wierzyła, że go wskrzesi. Ale to nie biło serce Edy. To biło mocno jej własne serce. W kącie piwnicy, na brudnej, zawszonej pryczy płakała na Edą, sobą, nad całym tym okaleczonym światem. Potem płakała nad martwą kobietą, w której brzuchu ruszało się jeszcze dziecko, gotowe do wyjścia na świat. Nie pomogli mu. Śmierć w brzuchu czy wśród gruzów, z głodu — czyż nie taka sama?...

Wojenne matki, te z transportów, rodziły swoje dzieci na barłogach, naprędce podścielanych szmatach lub brudnej podłodze wagonów. Ma dziesięciu wojennych chrześniaków. Chrzciła dzieci repatriantów ze Związku Radzieckiego, wysiedleńców z Poznańskiego. Pamięta, jak w maju 44, pracowała wówczas w punkcie na Krochmalnej, kobieta z małym dzieckiem zwróciła się do niej o pomoc. Jedzie do Niemiec, na roboty, dziecko słabe, karmione pszenicą, nie może go wziąć... Jeszcze nie ochrzczone, umrze na pewno... Pamięta pani Anna, jak biegała po pustej Krochmalnej i szukała ojca chrzestnego. Znalazła wreszcie. Jakiegoś kolejarza. Dziecko ochrzcili pospiesznie, w kościele na Dziesiątej. „Wtedy marzyłam o własnych dzieciach. Jak je będę kochać"... — mówi dziś Anna Ostrowska.

W kwietniu 46 ludzie w Bełżcu zbierali jeszcze złoto po Żydach. Ostrowska mówiła, że ludzkie łzy zbierają... A na stacji zatrzymywały się transporty repatriantów zza Bugu. Ludzie, dla których świątecznym posiłkiem były łby śledzi, rzucali się na żywność dostarczaną im przez PUR. W tym czasie polska władza wysiedlała Ukraińców. „Z małymi dziećmi się zabierali, żal mi ich było. Nieraz dałam to mydło, to trochę jedzenia — mówi pani Anna. — Ale to nie podobało się UB. Dlaczego pomagam Ukraińcom? — pytali mnie. A ja zawsze to samo: czy to Ruski, czy to Pruski — człowiek przecież. Przysięgałam, że będę udzielać pomocy, to udzielam. I dali mi spokój".

W pierwszych, powojennych latach Anna Ostrowska pracowała w biurze PCK, jeździła również po wsiach, wraz ze studentem medycyny, żeby przeprowadzać badania. Leczyła rany, ścinała, nie bacząc na zabobonny strach swoich pacjentów, liczne kołtuny. Mówi, że nie miała czasu pomyśleć o sobie, wyjść za mąż i mieć te wymarzone dzieci. W 57 roku zdecydowała się. Tolek był partyjny, więc wzięli tylko ślub cywilny. Tolek jeszcze lubił wypić. W wielkanocną niedzielę, po przyjściu z dyżuru (pracowała wtedy w Szpitalu Kolejowym), zastała go pijanego. „Ty flądro! Gdzie łazisz?!" — przywitał ją awanturą. Nie odpowiadała. Cisnął o ścianę. Wtedy w brzuchu coś się oberwało. Poroniła. Któregoś dnia znalazła w szafie nie znany sobie schowek, a w nim białe tabletki. Morfina? — przeleciało jej przez głowę. Skąd je wziął — nie wiedziała. Wiedziała jedno: miała męża alkoholika i narkomana. Bliska była rozpaczy. W dodatku na oddział zadzwoniła milicja: „My cię nauczymy, jak obchodzić się z mężem!" Potem ludzie mówili, że Tolek był w UB. Po pięciu miesiącach ni to życia, ni to śmierci została wdową.

Dla Anny wojna trwała jeszcze długo. Przez dwa lata, co poniedziałek, meldowała się na Szopena. Przesłuchania były monotonne. Pytania wciąż te same: o AK, kogo znała, o pseudonimy, komu pomagała... „A ja wciąż to samo i na niebiesko — mówi Ostrowska. — To znaczy tak, żeby nic nie powiedzieć. Ile to było tych poniedziałków?"

— Czy ja miałam to szczęście w życiu, no niech pani powie... — zastanawia się, odganiając od siebie dwa skundlone jamniki: Figę i Ferdka. — Jeszcze świnka morska jest. Kaśka. Mówię pani, cała menażeria. Oddałabym, ale dzieci lubią zwierzęta.

— Mogło być gorzej, prawda? — wracam do tematu.

Było lepiej. Był Tadeusz. Sąsiad z tej samej ulicy, kolega z dzieciństwa. Przychodził na herbatę. Wreszcie oświadczył się. Anna przeszła tragedię i nie miała ochoty na małżeństwo. Na imieniny kupiła mu chusteczki do nosa. „Chusteczek się nie daje, bo się rozstaje" — przyjął prezent żartem. Był chory na astmę, a ona pragnęła mieć przy sobie mężczyznę silnego, zdrowego, zaradnego. Jednak przyjęła oświadczyny. I znów miała się kim opiekować. Życie z Tadzikiem było trudne. Częste wizyty pogotowia, zastrzyki w nocy... Kochała go. Dlatego ten trud wspomina bez ulgi właściwej człowiekowi, który pozbył się ciężaru. „Tadzik umarł dwa lata temu. Nic już nie pomagało. Po prostu zadusił się" — mówi pani Anna i pochyla się nad zdjęciem. To oni, we dwoje w Krynicy na wczasach. Przystojny blondyn opiera rękę o ramię kobiety. To Anna. Młoda jeszcze, przystojna, uśmiecha się zalotnie.

— Mamuniu, daj całucha — krzyczy od progu czarnowłosa dziewczynka.

— Powiedz najpierw „dzień dobry" — upomina pani Anna. — Chodzi do trzeciej klasy — informuje. — Ładnie śpiewa, rysuje, ale trzpiot z niej okropny. Kinga, ładniej powieś fartuch.

A więc są i dzieci...

— Mam dwoje — odpowiada moim myślom.

Pierwszy był Maciek. Pojechała po niego aż za Lublin. Patrzy: willa piękna. Ale dziecko mieszkało obok. W drewnianej komórce. Bez światła. Z dala od świata. Bo co by ludzie powiedzieli na to, że córka takiego bogacza, studentka, dziecko ma nieślubne? Wstyd. A to przecież taka bogobojna rodzina... Siedziało dziecko w tej komórce i patrzyło z lękiem na obcą. Włosy długie, pozlepiane, blizna wypalona na rączce... Wzięła to dziecko bez zastanowienia. W domu zabrała się od razu za leczenie. Chłopiec miał sepsę ogólną, 40 stopni gorączki. Odżywał powoli. Tadeusz z Anną zaczęli uczyć go mówić. Tata — mama — stół. Ładny był brzdąc, widać na zdjęciach.

Kinga wzięła się z Domu Samotnej Matki. Siostry, prowadzące ten dom, oddały ją sąsiadce Ostrowskiej na przechowanie do czasu, gdy nie zjawi się ktoś zainteresowany adopcją. Potem wzięła dziewczynkę pani Anna. Kinga spodobała się dziesięcioletniemu Maćkowi. „Mamo — prosił — nie oddawajmy jej nikomu". Nie oddali, z trudem przeprowadzając sprawę o adopcję w sądzie.

— Ja nawet nie myślę, że to nie moje — mówi pani Anna. — Człowiek przyzwyczaił się, pokochał. Nieraz trudno związać koniec z końcem i to mnie smuci, bo chciałabym, żeby moje dzieci miały lepiej niż ja. „Mamusiu, a jaki jest świat?" — pyta mnie Maciek. Mądry chłopak, dumna jestem z niego, chociaż nie bardzo chce się uczyć. „Świat jest niesprawiedliwy, nieuczciwy" — odpowiadam mu, bo akurat jestem bardzo rozgoryczona. „Ale ty powinnaś się cieszyć, bo nie masz sobie nic do zarzucenia" — pociesza mnie mój Maciek.

Nigdy nie było tak: zamknij się, gówniarzu, ja wiem lepiej. Był i jest w domu zdrowy duch. Rozmowy z ojcem. Poważne, partnerskie. O życiu. Maciek wyniósł z nich jedno najważniejsze: popatrz, w innych domach dobrobyt i co z tego? Tam przecież nie da się żyć! Maciek nie tęskni do tych, którzy wyrzucili go na śmietnik. „To, że jestem adoptowany, nie spadło na mnie jak grom — mówi poważny, 21-letni chłopak, uczeń Technikum Kolejowego. — Mama powiedziała mi o tym. Wytłumaczyła. Nie chcę widzieć tej, która mnie urodziła. Nie chcę wpaść w nienawiść".

Przed wywiadówką u Maćka Ostrowska zawsze ma tremę. Z powodu tego, co o nim usłyszy. Chłopak chce mieć własne zdanie, a to nie wszystkim się podoba. I z tego jeszcze powodu, że inne matki takie młode i eleganckie, a ona taka stara... „Nie myśl, że się ciebie wstydzę — mówi wtedy Maciek. — Ty i tak wyglądasz wśród nich najlepiej. Najdostojniej".

**Ewa Czerwińska**

# JAK TO ZE LNEM BYŁO,

## CZYLI ZAPISKI CHŁOPO-REPORTERA

**Henryk Sieńko**

### SIERPIEŃ 1987 ROKU

Odziarnienie wyrwanych ręcznie łodyg nie było ani trudne, ani czasochłonne. Zajęcie to połączyłem z omłotem szypułek zerwanych przez kombajn i wysuszonych potem w stodole. Samo suszenie polegało na bardzo częstym przewracaniu szypułek łopatą, tak aby jak najdłużej były one na „górze", bliżej powietrza i słońca. W bardzo słoneczne dni wynosiliśmy je z bratem na rozłożoną przed stodołą plandekę. Plandekę, która z czasem miała się stać legendą naszej wsi. Były też noce, kiedy musiałem wstawać o północy i szuflować „brzęczące kulki", bo nadmiar wilgoci groził im zatęchnięciem. Szczęśliwie dosuszyliśmy i pewnego słonecznego dnia stanąłem z mamą i bratem do omłotów. Przyjemnie było patrzeć, jak przybywa w workach brunatnobrązowych ziarenek, ale nastrój prysł, kiedy okazało się, że i owe ziarenka trzeba będzie dosuszać, gdyż są za wilgotne.

— Przecież siemię nie jest najważniejsze — uspokajał brat.

Oczywiście miał rację, bo płaci się za wszystko: za siemię, za włókno, paździerze i wytrzepy, wreszcie za pakuły. Przynajmniej teoretycznie.

Pierwsze rozeznanie co do uzyskanego plonu otrzymałem po zważeniu wymłóconych i oczyszczonych nasion. Było tego 550 kg. Wynik ten wskazywał, że włókna powinno być ok. 800 kg.

Późną jesienią odwiozłem siemię do ajenta Zrzeszenia, do Piask. Zaskoczyła mnie sprawność, z jaką zostałem przez niego obsłużony. Pojechałem wieczorem z obawą, czy facet nie pogoni mnie za bezczelność, za to, że śmiem go niepokoić o 21. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, ze zrozumieniem i obsłużył bezproblemowo. W kilkadziesiąt minut miałem towar zważony, sklasyfikowany, obliczoną należność i wypłacone pieniądze! Jak to jest — myślałem — że jeden kupiec skacze koło chłopa jak baletnica, załatwi w kilka chwil ku obopólnemu zadowoleniu, a drugi patrzy, jakby tu oszukać i pokazać kto ważniejszy. Przykład? Po rozliczenie za sprzedane ziemniaki jeździłem do Niedrzwicy 11 (słownie: jedenaście) razy! A przecież zdobycie rozliczenia to jeszcze nie pieniądze, bo akurat może być już po godzinie dwunastej i bank interesantów nie przyjmie. Za zmitrężony czas, wyjeżdżoną benzynę i nerwy nikt mi pieniędzy nie zwróci.

Za siemię dostałem 90 tys. złotych. Gdybym sprzedał to detalicznie, na targu, miałbym około 30 tys. więcej, ale czasu na drobny handel rolnik nie ma nigdy, producent lnu tym bardziej. Mnie tymczasem czekała robota najważniejsza: międlenie.

Międlenie polega na połamaniu wyroszonych łodyg lnu, tzw. paździerza. Kiedyś robiło się to drewnianymi międlarkami, a jedną wiązkę nawet i sześć razy trzeba było przepuścić przez to urządzenie. Chodziło o to, żeby jak najwięcej paździerzy odpadło od włókna, które potem trzepało się na specjalnych trzepakach, wyglądem przypominających skrzydła helikoptera. Dzisiaj międlenie ogranicza się do jednorazowego wpuszczania wiązki w międlarkę zrobioną z dwóch ciężkich, metalowych walców.

W październiku, po zakończeniu wszystkich jesiennych prac w polu, byłem gotowy do rozpoczęcia międlenia. Pamiętam, że za każdym razem, kiedy wychodziłem do stodoły, mama przypominała mi o ostrożności. Opowiadała, jak kiedyś drewniana międlarka urwała rolnikowi rękę.

Liczyłem, że skończę międlenie po tygodniu, myślałem, że dam radę zrobić to sam. Chciałem dojść do końca przy minimalnym nakładzie kosztów. Okazało się jednak, że się przeliczyłem. Po pierwszych dniach pracy nie czułem palców, w uszach słyszałem tylko tłuczenie się dwóch stalowych walców. Co dwie godziny musiałem przerywać, by oczyścić nos i oczy z kurzu. Z płuc wydostawała się siwo-brunatna flegma. Mówi się na wsi, że omłoty zbożowych stargów to najgorsza z najgorszych gospodarskich prac. Po pierwszym dniu międlenia mogłem powiedzieć, że jest jeszcze coś znacznie gorszego. Patrzyłem na gigantyczną stertę wyroszonej słomy, którą chciałem przemiędlić w tydzień...

Z dnia na dzień kark, plecy, ręce i nogi bolały coraz bardziej. Najwięcej czasu pochłaniało rozkładanie snopków na małe wiązki-garście. Szorstkie, splątane włókno kaleczyło ręce i ścierało skórę. O pracy w rękawiczkach nie było mowy, jeszcze bardziej splątałbym słomę. Rozłożenie jednego snopa zajmowało niekiedy i 10—15 minut, a snopów tych leżało w stodole całe 5 ciągnikowych przyczep.

Nie najmowałem robotników, gdyż sam chciałem poznać smak rolniczej roboty, smak „walki" z ziemią o pieniądze...

Minął miesiąc, a ja nie wykonałem nawet jednej trzeciej wszystkiego. W uszach bez przerwy kołatała międlarka, chwilami miałem wrażenie, że czas odmierza mi nie cykanie sekundnika, tylko tłuczenie metalowych walców. Marzenia o zakończeniu międlenia zimą 1987 roku przesuwały się dalej i dalej...

### GRUDZIEŃ 1987 — STYCZEŃ 1988 ROKU

W czasie świątecznych, rodzinnych spotkań sporo mówiło się o moich tarapatach ze lnem. Przepowiadano mi jeszcze długie „czuwanie" przy międlarce, być może do Wielkanocy. Zbywałem te przytyki jedynym argumentem: zyskiem!

— Stryju — próbowałem przekonywać — ty musisz siać przez trzy lata psznicę, żeby zdobyć tyle, ile ja będę miał za len.

Odpowiedź zawsze była taka sama: „Nie chciałbym tych pieniędzy i tej roboty!"

Sroga zima utrudniała pracę. Coraz krócej wytrzymywałem przy maszynie. Niby ubywało, ale zbyt wolno. Jeszcze nie doszedłem do połowy, a pesymiści już wyliczyli, że więcej zapłacę za zużyty prąd, niż zyskam za włókno, a do gotówki wciąż było daleko...

Pod koniec marca przekroczyłem półmetek. Nieuchronnie zbliżająca się wiosna goniła do pracy. Znów stałem przy maszynie po 8 godzin dziennie, a niekiedy koczowaliśmy w stodole do późnych godzin nocnych. Jej otwarte wrota stały się z czasem punktem wskazania dla wielu błądzących, którzy przyjeżdżali w poszukiwaniu adresów z prasowych ogłoszeń. Chodziło, rzecz jasna, o sprzedaż gospodarstw, maszyn itp. Pamiętam, jak wstępowali do nas z pytaniami, gdzie mieszka ten lub tamten, który sprzedaje brony, wygon czy drewnianą stodołę, bo w sklepie mówili, że trzeba dojechać do tej otwartej stodoły, gdzie bez przerwy coś się tłucze, a tam już wskażą drogę.

### MAJ 1988

Wreszcie przyszedł ten upragniony dzień, pamiętam dokładnie, było to 21 maja! Solidnie się z tego powodu upiliśmy z bratem (i nie tylko). Nie poszliśmy do naszej gospody, nie ucztowaliśmy w mieszkaniu — biesiadowaliśmy w stodole. Butelka stała na młynku, szklanki trzymaliśmy w rękach, a zakąska spoczywała symbolicznie na snopie lnu. Patrzyliśmy na ten efekt naszej „orki" i dumaliśmy: ile to tak z tego może wyjść?

Jednego byłem wtedy pewien. Ten mityczny milion, który miałem uzyskać za sprzedaż włókna, nie był już wart pracy, jaką wykonało przy nim kilkanaście osób. Absolutnie!

Zaczynaliśmy okrężne we dwójkę, z bratem. Po dwóch godzinach było nas już kilku. To cisza w naszej stodole zwabiła znajomych.

— Byle podchujaszczyk na stanowisku dostanie asygnatę na poloneza, starego sprzeda za kilkakrotnie wyższą cenę, zostanie mu pięć baniek na czysto. I po co mu len? — komentował szwagier, którego szef otrzymał właśnie trzeci przydział na samochód w ciągu ostatnich dziesięciu lat. — Ty chłopie nie zarobisz tego nawet przez 5 lat.

— Pierdolnąć to wszystko i byłby spokój. Zostawić tylko chałupę, pójść na ciecia do miasta i lepiej się będzie żyło — wtrącił swoje Bednarski, nasz mleczny wozak. — No patrz, chłopie porobisz jako cieć pięć lat przed emeryturą i masz cztery dychy co miesiąc, z pracy na roli nigdy tyle ci nie wyjdzie, żebyś nawet i miliardy państwu oddawał!

Zaczęła się ostra dyskusja. Na wsi po kielichu każda dyskusja kończy się na polityce, nie ma wyjątków. Najpierw obgaduje się mieszkańców: kto z kim, kiedy itp., potem przekomarza o robotę, o opłacalne kierunki produkcji, zyski, a kończy na polityce. Nie inaczej było i 21 maja 88 roku...

— Urzędnicy wszystko lepiej wiedzą, to władza, panie — ironizował brat. — Załóżmy, że mam forsę i chcę się budować, oo, tu obok, na swoim! Nie wolno, nie dadzą pozwolenia! Przepisy, panie...

— Władza to jest władza!

— A potem będą płakać, że chcą ich wieszać na drzewach

— A propo urzędników, powiem wam dobry kawał — przerwał naszą pijacką dyskusję miejscowy „humorek". — Niesą truposza z sali operacyjnej po nieudanym zabiegu, do prosektorium, niesą w czterech, a tu raptem TEN wstaje z trumny i drze się: „Ja przecież żyję!" „CICHO! — jeden z obsługi do niego — w biurze lepiej wiedzą!"

Nie śmialiśmy się. Za wiele flaszek zostało opróżnionych. Okrężną balangę przerwaliśmy dopiero o trzeciej nad ranem. Pierwszy zwalił się na snopy nasz „humorek".

### CZERWIEC 1988

Po zakończeniu międlenia czekała mnie praca z pozoru lżejsza — trzepanie włókna na turbinie. Całość interesu trzeba było przewieźć do R., odległego od nas o 50 km. Maszyna miała otrzepać włókno z połamanych przez międlarkę paździerzy i oddzielić od niego mniej wartościowe wytrzepy.

Oczywiście o pracy przy turbinie nie miałem zielonego pojęcia. Dobrze, że Jurek, mój towarzysz z firmy MODRY LEN, zapisał się pierwszy. Przekaże, co trzeba — myślałem.

Gospodarz, pan Borczak, który prowadzi punkt wypożyczania turbiny i skupu włókna dla Zrzeszenia, zapewniał nas, że damy radę przerobić wszystko w jeden dzień. Wierzyliśmy mu, ale kto mógł wtedy wiedzieć, że ajent przebiegły jak lis, będzie chciał nas wykiwać, że rozpoczął z nami swego rodzaju grę obliczoną na spore zyski.

Kiedy my ładowaliśmy włókno na przyczepy, Jurek miał kończyć trzepanie. Tymczasem zobaczyliśmy go u nas. Na moje pytanie: „co się stało" — machnął tylko ręką.

— Zdążyłem przerobić jedną przyczepę.

— Ile wyszło?

— 680 kg.

— A co z resztą?

— Sprzedałem Borczakowi za 130 tys.

Skalkulowałem błyskawicznie.

— Przecież tracisz na tym około 200 tys.

— Jak to?

— A tak! Jeżeli z jednej przyczepy wyjdzie ci 500 tys., to z drugiej, tej mniejszej, niech będzie 350—400 tys. A ty sprzedałeś za 130! Co ci odbiło!?

— Tuman do wiwatu!! — rzucił brat.

— Co miałem robić? Nie szło wytrzepać w jeden dzień, nie było siły, a na następny dzień kto inny był zapisany. Miałem wszystko wieźć z powrotem? Pojedziesz, to zobaczysz na własnym garbie...

— Oszwabił cię, cwaniak! Sam mówił, że da radę w jeden dzień. Jedź do niego, oddaj forsę, umówisz się przy okazji na trzepanie reszty. Nie będziesz miał ludzi, to pomożemy. I zabierz ze sobą kogoś ze Zrzeszenia. Nie bądź jeleń.

Przekonałem go. Borczak, jak tylko zobaczył go na własnym podwórku, wiedział w czym rzecz. Urzędnik ze Zrzeszenia był jedynie straszakiem. Ja natomiast przekonałem się, z jakimi ludźmi będę miał do czynienia. Zastanawiałem się, dlaczego chłop wobec chłopa tak postępuje? I to teraz, w tak nędznych czasach dla wsi, kiedy rolnicy powinni być solidarni, lojalni. Widać TAKIE CZASY!

Jurek opowiedział mi pobieżnie, jak wygląda obsługa turbiny i praca przy niej. Nie był to zbyt ciekawy opis.

**Koniec odcinka 3. — cdn.**

# LISTY

### „OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII"

*Czytelnikiem tygodnika jestem od chwili ukazania się nr 1 w kioskach Piotrkowa Tryb. „Relacje" są trudno dostępne u nas w wolnej sprzedaży, ale dzięki uprzejmości znajomych w „Ruchu" udawało mi się zdobyć wszystkie numery od nr 1, oprócz nr 9.*

*Ze względu na interesującą zawartość tygodnika (m. in. „Jaka Polska, jaka władza?", a przede wszystkim cykl wspomnieniowy „Od łagrów Komi do winnic Italii" Wacława Flisińskiego) postanowiłem od 1.04., tj. II kwartału, zaprenumerować „Relacje".*

*Gromadzę odcinki wspomnień p. Flisińskiego, ponieważ opracowuję materiały związane z gehenną Polaków w ZSRR w latach 1939—1956.*

*Z wyrazami szacunku*

**Zenon Starewicz**
Zarząd Wojewódzki TPD
Piotrków Tryb.

### MARNOWANIE SUROWCÓW WTÓRNYCH

*W Chełmie przy ul. Kolejowej jest skup i składowisko złomu metalowego. Leżą tego całe stosy, wszystko to niszczeje, rdzewieje. Leży to, jak widzę, całymi tygodniami. Kto chce i kto nie, to tam łazi, szuka, szpera, rozciąga. Brak nad tym cennym, już skupionym surowcem dobrego opiekuna. Ktoś to uzbierał, kupił, zwiózł, no i na tym koniec. Marnowanie, niszczenie. Przy ul. Rampa Brzeska jest składowisko surowców wtórnych — papieru i szmat. Jak widzę, to też tam brak dobrej ręki gospodarza. Bardzo często na placu leżą papieru i szmat całe stosy. Wiadomo, że papier i szmaty gniją. Jak mi wiadomo, to właściciel tego składowiska tłumaczy się brakiem transportu. Ale przecież gdy surowiec został zakupiony od ludności, zwieziony na składowisko, to już niechże ktoś zdrowo pomyśli o tym, by to wszystko właściwie, dobrze i w określonym czasie przetransportować do właściwego miejsca. Niech to nie niszczeje i nie gnije. Nie wiem dlaczego, ale nasze władze jakoś nie umieją żyć oszczędnie i oszczędzać.*

**Marian Mazurek**
Chełm

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna" — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki —od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

# OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

## Wacław Flisiński — *Córce mojej poświęcam*

**W obozie Wojska Polskiego, Tatiszczewo, saratowskiej obłasti, 8 września 1941 r.**

3 września 1941 jednym z ostatnich transportów wyjechałem z obozu Talica. Późnym wieczorem, załadowani na leśną kolejkę, na małe otwarte platformy, wyruszyliśmy w stronę przystani wodnej na rzece Wiaźma. Następnego dnia o świcie przesiedliśmy się na statek parowy, który wkrótce ruszył w górę rzeki. Tak płynęliśmy do południa. Wreszcie — miasto Wiaźniki.

Kiedy w upalny dzień maszerowaliśmy przez miasto w stronę stacji kolejowej, przypomniałem sobie wyraźnie ów dzień sprzed kilku miesięcy, gdy szliśmy w odwrotnym kierunku, pod strażą, do obozu NKWD Talica-Juża...

Na stacji czekały już wagony. Dostaliśmy obiad i chleb na drogę. Wieczorem padł sygnał do odjazdu. Zawiadowca stacji podniósł chorągiewkę, i pociąg wypełniony po brzegi, pach, pach, pach — ruszył w daleką drogę, w kierunku Saratowa.

Jechaliśmy dniem i nocą. Pociąg mijał stacje kolejowe — Kowrow, Muron, Ruzajewka, Penza, Rtiszczewo, Atkarsk. Wreszcie dzisiaj, 8 września, o godzinie trzeciej rano, stanęliśmy na stacji docelowej, Tatiszczewo. Na zawsze zapamiętam nazwę tej stacji; ten wyraźny napis, który zobaczyłem na murze budynku stacyjnego w szarym świetle poranka: „TATISZCZEWO".

Po wyładowaniu z wagonów oddziały w kolumnach marszowych zaczęły odchodzić do obozów, do przygotowanych już dla nich pomieszczeń w barakach. Wysiadała także z pociągu nasza ludność cywilna, którą zabieraliśmy na stacjach w drodze do Tatiszczewa. Wsiadało też do naszego transportu mnóstwo byłych wojskowych, którzy chcieli wstąpić do nowo organizowanej Armii Polskiej w ZSRR. Zaczyna się oto okres wędrówki Polaków po bezkresnych obszarach Związku Sowieckiego, z północy na południe; ludzi zwolnionych na skutek „amnestii" z więzień i łagrów, w których dotychczas pozostawali.

Teraz jestem już w obozie polskiego wojska. W obozie tym ma się tworzyć 5 Dywizja Piechoty.

**Tatiszczewo, 20 września 1941 r.**

Od 8 września rozpoczęliśmy prawdziwą służbę wojskową pod polskim sztandarem. Podzieleni jesteśmy na kompanie, bataliony i pułki; mniej więcej według przydziałów wojskowych z września 1939. Zakwaterowani jesteśmy głównie w namiotach pozostawionych przez wojsko sowieckie, które tutaj przebywało w okresie letnim na ćwiczeniach.

Tworzone są trzy pułki piechoty: 13, 14, 15; pułk artylerii, kawalerii, baon broni pancernej, baon łączności i kompania Pomocniczej Służby Kobiet. Z resztek nieprzydzielonych zorganizowano Ośrodek Zapasowy 5 DP. Dowódcą naszej 5 Dywizji Piechoty jest gen dyw. Mieczysław Boruta-Spiechowicz. Dowódcą Ośrodka Zapasowego został ppłk dypl. Morawski.

Właściwym dniem utworzenia 5 Dywizji był 15 września 1941 r. Przybyły tego dnia do naszego obozu gen. Boruta-Spiechowicz zwołał odprawę oficerów i podoficerów, i przedstawił plan organizacji dywizji.

Następnego dnia przybył do Tatiszczewa generał Władysław Anders, głównodowodzący AP w ZSRR. W swym przemówieniu do nas, żołnierzy powstającej 5 Dywizji Piechoty, mówił:

„Żołnierze; Dzisiaj przyjechałem po raz pierwszy do was, do pierwszej naszej formującej się dywizji, która nosi numer piąty. Ja myślę, że każde wasze serce, tak jak i moje, bije żywiej w tej chwili, kiedy rzeczywiście zaczęliśmy robić Wojsko Polskie..."

Dalej mówił gen. Anders o przegranej kampanii wrześniowej, o ciężkich ofiarach, jakie ponieśliśmy w bojach. Ale także o tym, że nasi żołnierze bili się dalej w Norwegii, we Francji; że walczą nadal nad Anglią i w Afryce. A teraz także my mamy możliwość wstąpienia do boju o Niepodległą Polskę. Musimy zapomnieć o krzywdach, jakich doznaliśmy, odrzucić wrogość, żyć w przyjaźni — tak jak na to wskazuje generał Sikorski. Wiemy, że droga do Polski jest jeszcze daleka i ciężka, pełna przeszkód i krzywizn, ale już w sercach widzimy tę Polskę. Będziemy się bili za Polskę Wielką, Wolną, Demokratyczną i Sprawiedliwą. O taką właśnie Polskę biją się wraz z nami mocarstwa światowe.

Apelował gen. Anders do żołnierzy, aby nie było wśród nas występków, głupstw, wybryków i spraw niegodnych, podważających honor Polaka i kalających nasze święte sprawy biało-czerwonej chorągwi państwowej. „Dlatego też mówię jasno — dodał — że wszystkich tych, którzy będą plamić honor munduru Żołnierza Polskiego, my nie będziemy cierpieć, bośmy są Polacy".

Na zakończenie generał Anders powiedział:

„Dziś jesteście organizowani, jesteście w momencie najtrudniejszych prac, wygląd zewnętrzny przedstawia wiele do życzenia, lecz przyjdzie moment, za miesiąc, że wszyscy będziecie ubrani jak z igły, poczujecie się w skórze, ale już dzisiaj jesteście pełnowartościowym żołnierzem; boso, jednakże — żołnierzem polskim.

Mam pełne zaufanie do was, że ani ja jako wasz dowódca, ani naród polski, umiłowany, ukochany nasz naród, ani Wódz Naczelny w Londynie, na was się nie zawiedziemy, bo my nasz naród, naszą Ojczyznę kochamy tak głęboko jak nikt na świecie.

Żołnierze! Idziemy do walki o być czy nie być naszego narodu. Idziemy ręka w rękę z naszymi sojusznikami, idziemy z nimi i zwyciężymy, bowiem póki jeden Polak żyw, my wiemy że zwycięstwo będzie nasze".

Przemówienie to zrobiło na nas wszystkich ogromne wrażenie. Czy ja myślałem kiedy tam, w łagrach Komi, że spotka mnie taka wspaniała, niezapomniana chwila?!

**Tatiszczewo, 30 września 1941 r.**

Jako kancelista szpitala wojskowego z września 1939 r., zostałem przy tworzeniu 5 Dywizji Piechoty przydzielony do Izby Chorych w Ośrodku Zapasowym; ze skierowaniem na funkcję sekretarza lekarza naczelnego, dra Stefana Kolina. Szefem Kancelarii Naczelnego Lekarza jestem dokładnie od 20 września.

Dr Kolin jest wyjątkowo miłym i bardzo uprzejmym, starszym panem, z którym pracuje się naprawdę z przyjemnością. Przed wojną dr Kolin pracował w Krakowie jako znany i ceniony lekarz ginekolog.

Izba Chorych mieści się nie pod namiotem, ale w budynku stałym. Tutaj także, za przepierzeniem, urządziliśmy sobie kwatery.

W dziale wewnętrznym Izby są lekarze: dr Grunhut, dr Zasławski, dr Botwin i dr Aleksandrowicz. W dziale chirurgicznym pracują m. in. wachm. Ciechanowski i Franciszek Rezler; w dziale aptecznym — mój przyjaciel Stefek Kaczyński. Chorych jest mnóstwo; przychodzą przez cały dzień, od rana do wieczora. Prowadzę rejestr chorych na dziale wewnętrznym, więc jestem doskonale poinformowany. Ludzie chorują na dziesiątki chorób. Z setek zgłaszających się do lekarzy, wielu pewnie nie doczeka powrotu do kraju...

●

Spotkałem tutaj, w Tatiszczewie, Kazimierza Gosińskiego; w stopniu kapitana. Jest oficerem służbowym w naszym Ośrodku Zapasowym. Gosiński był przed wojną w Janowie Lubelskim zastępcą inspektora samorządowego.

Przede wszystkim jednak, muszę napisać o Stefku Kaczyńskim...

Ze Stefkiem spotkaliśmy się tutaj ponownie, po trzynastomiesięcznej przerwie. Od tej chwili jesteśmy prawie bezustannie razem. Śpimy razem, jemy razem. Razem chodzimy w odwiedziny do znajomych i przyjaciół. Razem piszemy listy do rodzin, których pewnie one nigdy nie dostaną. Tacy jesteśmy nierozłączni jak przysłowiowy Wicek i Wacek. Dzielimy się ostatnim kęskiem chleba, smalcu, mięsa i papierosa. Daj Boże przetrwać cały czas z takim właśnie przyjacielem!

Czasem także pijemy razem ze Stefkiem sowiecką wódkę. Ale tu dzielnie nam sekunduje nowy wspólny przyjaciel, Józef Chełminiak ze Złotnik Kujawskich, przed wojną zamieszkały w Łuzkach. Nowy przyjaciel jest równie serdeczny, przywiązany do nas jak my do niego. We śnie, ułożeni jeden obok drugiego, żeby było cieplej, okrywamy się wszyscy trzej jednym kocem.

Miły i dowcipny ten Józek. W jego towarzystwie czas schodzi szybko. Przyrzekliśmy sobie, że po powrocie do kraju oblejemy wspólnie naszą znajomość i przyjaźń — czystą wyborową. Pewnie, dalekie jeszcze tam drogi i dużo czasu musi upłynąć, ale... góra z górą się nie schodzi, a człowiek z człowiekiem — na pewno spotka się jeszcze. Do Stefka przychodzą jego przyjaciele: Rankowski, Heniek Domański...

Martwimy się ze Stefkiem z pewnych powiedzeń Józka. Bo nieraz ze smutkiem powiada, iż przeczuwa, że on do swoich drogich na pewno już nie wróci. „Jak to, Józiu! — mówimy na to. — Przecież Irka z dziećmi z takim utęsknieniem oczekują twojego powrotu! A ty brednie i herezje jakieś nam tu opowiadasz!" Posmutniał raz Józek jeszcze bardziej i mówi: „Sam nie wiem; skąd te myśli. Ale naprawdę, powiadam wam, przeczucie mi mówi, że już moich najdroższych nie ujrzę nigdy".

[Późniejszy dopisek w dzienniku:]

*Józka przeczucia sprawdziły się, niestety. Zmarł 17 marca 1942 r. w Tatiszczewie, już po naszym wyjeździe na Środkowy Wschód. Został pochowany na miejscowym cmentarzu wśród innych polskich kolegów-żołnierzy.*

**Obóz Wojska Polskiego w Tatiszczewie, w listopadzie 1941 r.**

W Tatiszczewie większość wojska mieszka pod namiotami; i jakkolwiek zimno i silne mrozy dotkliwie dają się we znaki, to jednak dziarskość żołnierzy jest wspaniała, o czym niejednokrotnie mówią nasi przełożeni.

W budynkach mieszczą się jedynie dowództwa oddziałów, szpital i izba chorych oraz ambulanse. Z nastaniem silniejszych mrozów namioty zostały wgłębione w ziemię, i w ten sposób stały się rodzajem ogrzewanych ziemianek, w których można, z biedą, przetrwać ciężką nawet zimę. Drewno potrzebne do budowy tych „ziemianek" sprowadzone zostało z lasów położonych o kilka kilometrów od naszego obozu, z miejscowości Idołga. Generał Spiechowicz osobiście dawał przykład godny naśladowania, taszcząc na swych generalskich barkach pokaźne kłody drzewa.

●

Wciąż oczekujemy na zapowiedziane dostawy broni. A nade wszystko czekamy umundurowania, które już w pierwszych dniach września zostało wysłane z Anglii do portu Murmańsk.

Cuda opowiadają o tym nowym umundurowaniu. Mają tam być (poza bluzami i spodniami kroju sportowego) pasy skórzane, pasy łącznikowe, plecaki, chlebaki, menażki (odmiennego formatu niż polskie), manierki, łyżki, widelce, noże stołowe, komplet przyborów do szycia, szczotki do zębów, maszynki do golenia, żyletki... i tyle, tyle innych szczegółów! A koce podobno mają być z czystej angielskiej czy australijskiej wełny: puszyste, ciepłe; coś w rodzaju takich pledów, jakie się widziało w Polsce!

Długie czekanie na umundurowanie coraz bardziej nas niecierpliwi. Dowcipni puszczają wersje, że nadeszły do magazynów, ale... młotki! Aby sobie wybić z głowy angielskie umundurowanie. Bo możemy jeszcze chodzić długo w sowieckich fufajkach, burszłatach, albo... w swoich cywilnych garniturach czy też — dawnym polskim umundurowaniu. A niektórzy szczęściarze — w przydzielanym niedawno umundurowaniu kroju... łotewskiego!

Opóźnienie dostaw angielskiego umundurowania kładzie się na karb trudności transportowych w ZSRR oraz działań wojennych; szczególnie w rejonie Murmańska, przez który to port przychodzić ma ładunek dla naszej 5 Dywizji Piechoty.

Mimo tych braków nasza „wiara" w starych mundurach kroju polskiego, w spodniach i fufajkach sowieckich wygląda i tak — doskonale!

●

W obozie w Tatiszczewie wychodzi prawie od samego początku naszego tam pobytu — gazetka zatytułowana: „W marszu". Jest pisana ręcznie, a zaczynała swój żywot jako gazetka ścienna. Na jej stronach nasi wojskowi autorzy zamieszczają m. in. wiersze i słowa piosenek, napisanych już tutaj, w Tatiszczewie. Jedna z piosenek, której autorem jest Kazimierz Zamorski, nosi tytuł „5 Dywizja" (została zamieszczona w numerze 3 „W marszu"). Wojsko śpiewa ją na melodię: „Maszerują strzelcy, maszerują..."

Wyszliśmy z bezkresnych tajg Sybiru,
Ażeby wyzwolić polski Lud.
Idziemy na boje ufni w siły,
Nie straszny jest dla nas żaden trud.

(Refren):
Nie znamy litości, bo jedna w nas myśl:
Z pruskiego uwolnić Kraj knuta!
A wiedzie w zwycięstwo,
A wiedzie na bój —
Boruta-Spiechowicz, Boruta!

Są jeszcze dalsze dwie zwrotki, ale ich tutaj nie przytaczam.

Inna piosenka, którą napisał pchor. Piotr Babiracki (jej tekst także opublikowało „W marszu") zaczyna się tak:

Nad naszym polskim obozem
Szumią w polu, hen, drzewa,
I dumnie polska chorągiew
Biało-czerwona powiewa.

A z piersi naszych w dal płyną
Pieśni radosnej ochoty —
Bo myśmy przecież żołnierze
Piątej Dywizji Piechoty.

No więc — choć mundurów nowych jeszcze nie mamy — to przynajmniej mamy już własne piosenki. A piosenka to w wojsku — ważna rzecz.

**(Koniec odcinka 14. — cdn.)**

Podał do druku i opracował:
**Mirosław Derecki**

# ŁAGROWE OPOWIEŚCI BOLKA RYSAKA

## Mirosław Derecki

BOLEK RYSAK, towarzysz wojennych perypetii Wacława Flisińskiego, tak często przewijający się na kartach dziennika „Od łagrów Komi do winnic Italii", zmaterializował mi się nieoczekiwanie w pewne kwietniowe popołudnie. W słuchawce telefonu zabrzmiał niski, męski głos: „Mówi Bolesław Rysak. Przeczytałem o sobie w »Relacjach«. Chętnie się z panem spotkam". Okazało się, że Bolesław Rysak mieszka od kilkudziesięciu lat w rodzinnym Lublinie... Po wojnie wraz z młodszym bratem Tadeuszem, który także był oficerem artylerii w 2 Korpusie, wrócili w 1947 r. do kraju.

I oto siedzę w zacisznym, miłym mieszkaniu na LSM, a Bolek Rysak — przepraszam: osiemdziesięcioletni pan Bolesław Rysak, dawny „łagiernik" z republiki Komi, porucznik artylerii ciężkiej 2 Korpusu Polskiego, uczestnik walk o Monte Cassino, Ankonę i Bolonię — rozsnuwa przede mną opowieść. Opowieść uzupełniającą to, czego nie zawarł w swym dzienniku zmarły kilka lat temu w Nowym Jorku jego dawny przyjaciel, Wacław Flisiński. Jako że w Komi Rysak i Flisiński dostali się do dwóch różnych, odległych od siebie obozów jenieckich, choć położonych na tej samej trasie budowy linii kolejowej: Kotłas — Workuta. W rok później mieli się znowu spotkać — jako żołnierze tworzącej się w Związku Radzieckim polskiej armii, dowodzonej przez generała Andersa. Ale to już inna sprawa.

Pan Bolesław do dzisiaj nosi na nogach pamiątkę z okresu pobytu w łagrach: głębokie blizny, jakie pozostawiła po sobie c y n g a — dziesiątkujący jeńców ostry szkorbut. Ale że usposobienie ma pogodne, że posiada poczucie humoru, więc i jego opowieść skłania się często w stronę momentów bardziej do śmiechu niż do płaczu...

Bolesław Rysak przyszedł na świat w 1908 r. w Rurach Jezuickich. Miał dwóch młodszych braci: Tadeusza i Czesława. Ojciec był woźnym w szkole. Najpierw w gimnazjum Kunickiego przy ul. Narutowicza, później w Seminarium Nauczycielskim, mieszczącym się przy placu Katedralnym. Znalazło się tam także mieszkanie dla woźnego, i stąd wieloletni, aktualny jeszcze w 1939 r. adres Bolesława Rysaka brzmiał: Lublin, ul. Królewska 12 m. 2. Właśnie z tego mieszkania pod koniec sierpnia 1939 roku wyruszył, po otrzymaniu karty mobilizacyjnej, do 2 p.a.c. (pułk artylerii ciężkiej). Obydwaj z bratem Tadeuszem, który przed wojną osiedlił się w Białymstoku, byli po służbie zasadniczej w pułkach artylerii.

Wyruszając na wojnę, Bolesław Rysak miał lat trzydzieści jeden. Dawny harcerz ze słynnej lubelskiej „Błękitnej Jedynki", maturzysta-ekstern, potem student prawa i ekonomii na KUL, w ostatnich latach sekretarz w Szkole Przemysłowo-Handlowej przy ul. Spokojnej (dziś ul. 22 Lipca), ani przypuszczał, że oto rozstaje się na długie lata z rodzinnym miastem, ze świeżo poślubioną żoną.

Podczas przeszkolenia w ośrodku Kadry Zapasowej szpitala wojennego we Wrotkowie pod Lublinem poznał swego rówieśnika podoficera, pochodzącego z Annopola — Wacława Flisińskiego. Szybko się ze sobą zaprzyjaźnili. Mieli następnie przebyć wspólnie wrześniowe wojenne drogi; razem dostali się do niewoli, razem mieszkali i pracowali w obozie polskich jeńców wojennych w Zaporożu. Skąd w maju 1940 r. wyruszyli tym samym transportem kolejowym na północ. Tam gdzie — jak im opowiadano — żyją białe niedźwiedzie.

W Kotłasie, obozie przejściowym, załadowano ich na dwie r ó ż n e barki, które popłynęły wprawdzie tą samą Dźwiną Północną i Wyczegdą, ale przybiły do brzegu w różnych miejscach. Flisiński trafił do obozu jenieckiego Nianda; Rysak — do obozu Mierżok, znajdującego się w pobliżu stacji kolejowej — dopiero budowanej — o tej samej nazwie.

Właściwie to nie był jeszcze obóz, lecz pusty teren. Jeńcy dostali kilofy, łopaty i siekiery. Uzbrojeni w takie „narzędzia produkcji" mieli sobie najpierw sami zbudować baraki i wyposażyć je w prycze. Także ogrodzić teren obozu drutem kolczastym.

Rysak wraz z kilkoma kolegami znalazł w lesie przypadkiem stary wagonik-wywrotkę kolejki wąskotorowej. Sprokurowali z niego w swoim baraku żelazny piec. Był to najlepszy piec w obozie Mierżok. Wchodziły weń wielkie polana drewna; rozgrzewał się szybko do czerwoności, ratując ludzi od śmierci w pięćdziesięciostopniowe mrozy.

W pobliżu były tylko łagry z więźniami radzieckimi; także zatrudnionymi przy budowie linii kolejowej Kotłas — Workuta. Wśród nich — obóz żeński: same kryminalistki. Często młode i dorodne, z niezwykłymi nieraz tatuażami na plecach i ramionach. Oraz męski obóz „bezprizornych". Siedzieli w nim sami kryminaliści, zazwyczaj od dzieciństwa sieroty, których rodzice zginęli od kul lub zmarli podczas rewolucji. Większość z nich przeszła przez sierocińce. Potem przez domy poprawcze. Włóczyli się następnie po całym kraju, żyli z kradzieży i rozboju. Byli to ludzie silni, nadzwyczaj zdrowi, odporni fizycznie. Ludzie, którzy nie potrafili żyć na wolności. Łagier był ich domem. Tu dostawali fufajkę do okrycia grzbietu, kawałek twardej pryczy do spania i — w zależności od wypracowanej „normy" — lichy bo lichy, ale regularny „kocioł". Bywało, że gdy wreszcie pewnej liczbie spośród nich kończyły się długoletnie wyroki, zdesperowani siadali do gry w karty. Ten, który przegrał, miał za zadanie zabić pierwszego z brzegu strażnika. Ponieważ stosowano zazwyczaj karę odpowiedzialności zbiorowej, więc nikt nie trudził się wyszukiwaniem zabójcy. Po prostu całej roboczej brygadzie, której przedtem pilnował zabity strażnik, dodawano „hurtem" pięć albo dziesięć lat odsiadki. I „bezprizorni" mieli na dłuższy czas zapewniony kąt i kawałek chleba.

Komendantem obozu jeńców wojennych Mierżok był niejaki Czystow. Pan Bolesław Rysak wspomina go prawie z rozrzewnieniem. W końcu, jak na tamte warunki i na tamte czasy, całkiem niezły był z niego człowiek. On i jego żona. Bo Czystow miał tu żonę. Osobę religijną; a w każdym razie wierzącą. Może nawet katoliczkę, a nie prawosławną?

Pewnego dnia Czystow w największej tajemnicy przyniósł jednemu z polskich jeńców, słynnej na cały obóz „złotej rączce", który potrafił wyrabiać piękne ozdoby, złotą dziesięciorublówkę. Polecił mu wykonać z niej krzyżyk dla swojej żony. Krzyżyk taki, jaki noszą katolicy, a nie prawosławni...

Żona Czystowa upiekła dla jeńców na Boże Narodzenie 1940 r. cieniutkie bułeczki, które miały im zastąpić świąteczne opłatki. Bułeczek-opłatków było wprawdzie niewiele, a jeńców aż półtora tysiąca, ale potrafili oni docenić ten gest i to ryzyko, jakie wzięła na siebie Czystowa. Bo gdyby się sprawa wydała...

Bolek Rysak wiedział wiele z tego, co się działo w komendanturze obozu, bo kiedy zaczęła na dobre żreć go cynga, wzięty został do biura. Tym łatwiej, że podał się za buchaltera z zawodu.

W tym biurze było wręcz swojsko. Nie trzeba było wychodzić do pracy na trasę budowy w mróz i zawieję (tylko jeśli temperatura spadała poniżej trzydziestu stopni Celsjusza i jednocześnie wiał wiatr, regulamin pracy pozwalał na zajęcia wewnątrzobozowe); a także spotykało się ciekawych ludzi. Do takich należał jedyny w Mierżoku łagiernik-Rosjanin, niejaki Kabatow. Na wolności Kabatow był profesorem jednej z wyższych uczelni technicznych, konstruktorem wielkich zakładów przemysłowych. Był to spokojny, kulturalny starszy pan, który wcale nie przejmował się faktem, że dostał wyrok dwudziestu pięciu lat łagru. Jako że... przekroczył już siedemdziesiątkę, i pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat potencjalnej „odsiadki" nie stanowiły dla niego żadnej różnicy. I tak — długo już nie pożyje. Język miał cięty, słownictwo soczyste, określenia dosadne i pomysłowe — „gogolowskie".

Kiedyś Czystow, po powrocie Kabatowa z odcinka pracy, jakiego doglądał, zapytał go, czy dogadał się z dwoma różnymi brygadzistami, którym zlecono tę samą pracę. „I czto, wsio charaszo?" — dopytywał się Czystow. „Nikak niet — odparł z irytacją profesor. — Potomu, czto odin gawarił o krasnoj szapkie, a wtaroj o jebionoj matuszkie!" Coś niby: „rozmawiali jak gęś z prosięciem!". Tylko o ileż barwniej wyrażone.

Ale nigdy nie wiadomo, co siedzi w człowieku. Tenże „filozoficznie" nastawiony do swego losu Kabatow przeczytał któregoś dnia w jednej z centralnych gazet, jaka trafiła do obozu, że... przyznano mu wysokie odznaczenie państwowe. (Widać, nie wiedziano gdzieś tam „na górze", że profesor-konstruktor siedzi w łagrze). Od tej pory Kabatow żył jak na szpilkach. Doszedł do logicznego wniosku, że skoro „władza" go odznaczyła, to będzie dążyła, naturalną koleją rzeczy, do wręczenia mu odznaczenia, A żeby odznaczenie wręczyć, trzeba będzie Kabatowa odszukać. I kiedy okaże się, że siedzi on w łagrze, trzeba go będzie z łagru wyciągnąć. Aby mu przypiąć na piersi medal. To zaś może okazać się pierwszym stopniem do wyjścia na wolność.

Kabatow zrobił się nerwowy, niespokojny. Z dnia na dzień czekał, aż „władza" go odnajdzie. A dni kapały i kapały jeden za drugim, i nic się nie działo.

Tymczasem Czystowowi, ku radości całego łagru, przydarzyła się niezwykła przygoda z Cybusiem.

Cybuś był to mały wesoły, oswojony koziołek; własność obozowego lekarza-konowała, który z nim wędrował od łagru do łagru, zastępując lekarzy z prawdziwego zdarzenia, których albo zżarła cynga, albo wykończył mróz, albo — jak w wypadku lekarza z Mierżoka — musieli być natychmiast przerzuceni do innego obozu, w którym akurat wybuchła epidemia. A tak się stało właśnie w niedalekim, wspomnianym już, babskim łagrze, gdzie siedziały tatuowane kryminalistki, rozpalające wyobraźnię polskich żołnierzy.

Cybuś stał się szybko ulubieńcem całego obozu. Żołnierze dzielili się z nim ostatnim kęsem strawy, bawili się z nim, uczyli różnych sztuczek. Jedna z takich sztuczek polegała na tym, że jeśli tylko Cybuś zobaczył w pobliżu zielone spodnie-bryczesy z kolorowymi wypustkami w szwach (nosili takie spodnie strażnicy-enkawudziści), pochylał natychmiast zbrojny w parę mocnych rogów łeb i ruszał pędem do ataku, mierząc prosto w miejsce poniżej pleców.

I oto pewnego dnia komendant Czystow, będący w stanie lekkiego rozmarzenia spirytusowego, zamykając za sobą boczną furtkę na teren obozu, nie dostrzegł stojącego nie opodal, na wysokiej hałdzie ziemi Cybusia. Ponieważ trudno było Czystowowi trafić w dziurkę od klucza, pochylił się w skupieniu nad zamkiem, zwracając się całą okazałością swych zielonych bryczesów w stronę wzgórka... Czy należy winić Cybusia, że postanowił natychmiast skorzystać z tak cudownej okazji; z tego wypiętego komendanckiego zadu, który aż sam pchał mu się pod rogi?! I Cybuś zaszarżował! Bolek Rysak i kilku innych jeńców, którzy rzucili się z pobliskiego biuro-baraku na ratunek, mogli już tylko skonstatować rzecz następującą.

Czystow, porażony niczym taranem, leżał rozciągnięty na całą długość na ziemi. Nad nim stał, kiwając głową, Cybuś. Tymczasem Czystow, rozgoryczony, prowadził z nim taką oto, jednostronną — ma się rozumieć — konwersację:

„Ty czto, Cybuś, duraka walajesz? Ty że razbił w proch i prach swojewo kamandira, swojewo naczalnika!" A po chwili Czystow dodał tonem rzewnie-refleksyjnym: „Ech, Cybuś, Cybuś, ty sawsiem o p o l a c z y ł s i a!". Zupełnie „spolaczałeś"...

Trzeba podkreślić, że Czystow po tym wypadku nie próbował na kimkolwiek się mścić. Przyjął całą rzecz z humorem. A kiedy latem 1941 r. ogłoszono „amnestię" dla Polaków oraz pobór do wojska i gdy niedawni jeńcy wojenni z obozu Mierżok maszerowali w kierunku podstawionych wagonów, które miały ich zawieźć do ośrodków, gdzie tworzyła się polska armia, Czystow wraz z żoną stali w obozowej bramie i żegnali każdą przechodzącą grupę, życząc niedawnym łagiernikom wiele szczęścia.

Podobnie jak Wacław Flisiński, dotarł najpierw Bolesław Rysak do obozu NKWD Talica pod Moskwą. I tam nastąpiło zupełnie nieprawdopodobne spotkanie: w jednym z podoficerów przybyłej akurat z Półwyspu Kola grupy „internowanych" rozpoznał... swojego brata Tadeusza, którego nie widział od lata 1939 r.!

Losy Tadeusza były mniej dramatyczne niż losy Bolesława. Jako że początkowo szereg miesięcy przesiedział wraz z innymi żołnierzami z Dowództwa Obozu Warownego Wilno w obozie dla internowanych na Litwie, w Wiłkowiszkach. Dopiero po zajęciu Litwy przez Związek Radziecki z Wiłkowiszek przewieziono internowanych podoficerów i żołnierzy do obozu w Juchnowie, w tulskiej obłasti. Tam przebyli niespełna rok. Pozostawali na statusie „internowanych", w o wiele lepszych warunkach niż ci, którzy trafili do obozów jenieckich na przełomie września i października 1939 r.

Chociaż... szykował im się chyba jeszcze gorszy los niż innym...

Pewnego dnia, późną wiosną 1941 r. załadowano ich do pociągu. Pięć dni jechali, aż zatrzymali się w Murmańsku. Tam przesiedli się na statki i popłynęli na Półwysep Kola.

Tadeusz Rysak i jego towarzysze zostali wysadzeni na ląd w miejscowości Panoi. Mieli tam budować lotnisko wojskowe.

Pokazano im miejsce w czystym polu. Dostali do ręki łopaty, kilofy i siekiery. Wydzierali z ziemi kwadraty darni i układali z nich, niby z cegieł, niewysokie ścianki. Czworobok takich „ścianek" przykrywali „dachem" zrobionym z prześcieradeł. Obozu nie trzeba było ogradzać. Gdzie można stąd uciec?

Wyżywienie: litr zupy na dobę, kilkaset gramów chleba. Praca: na dwie zmiany, po dwanaście godzin...

Na szczęście byli na Półwyspie Kola tylko dwa tygodnie, bo akurat doszło do porozumienia Sikorski — Stalin i ogłoszono „amnestię". Szczęśliwie, bo już zaczynały się w obozie choroby. Jednym z sanitariuszy, który niósł pomoc chorym kolegom, był obecny lubelski rentgenolog, dr Jerzy Szydłowski.

Z Półwyspu Kola przewieziono „internowanych" do Archangielska. A stąd pociągiem do Talicy. I tam Tadeusz Rysak zobaczył w pewnym momencie jakiegoś człowieka w podartej fufajce, z nogami poowijanymi szmatami, zamiast butów, który przypominał mu jakby... jego starszego brata Bolesława.

Od tej chwili już się nie rozstawali aż do powrotu do Polski. Byli w tym samym pułku artylerii, 11 p.a.c., i to Tadeusz był — już jako oficer — tym, który oddał ostatni strzał z ciężkiego działa na Bolonię.

Ale to było dużo, dużo później. Bo najpierw było Tatiszczewo; pułk artylerii lekkiej; pierwsze działa, ciągnięte niejednokrotnie — gdy koni nie starczyło — przez ludzi; szmatami owinięte stopy, bo tylko dojeżdżacze mieli buty z cholewami...

I ta pierwsza defilada 5 Dywizji Piechoty w grudniu 1941 r. przed przybyłym z Londynu generałem Władysławem Sikorskim. Maszerowała piechota, po dwudziestu ośmiu ludzi w szeregu; toczyły się armaty. Krok piechoty dudnił jak należy na defiladzie. Bo ci, dla których wciąż jeszcze brakowało butów, moczyli szmaty, jakimi mieli owinięte nogi, w wodzie, i wystawiali je następnie na trzydziestostopniowy mróz. Szmaty zamarzały wtedy „na kamień". To pozwalało „przybijać" z hukiem w defiladowym kroku. Tak jakby się miało na nogach buty z gwoździami i podkówkami. Zaś generał Sikorski stał na trybunie, salutował do futrzanej czapki z nausznikami, ocierał ukradkiem łzy i powtarzał, że takiego wspaniałego wojska, takiego żołnierza nigdy jeszcze w życiu nie spotkał.

Tak mówi porucznik artylerii Bolesław Rysak. I jeszcze chwila, a on sam podniesie, niby przypadkiem, rękę ku oczom...

**(Poza Bolesławem Rysakiem mieszka w Lublinie jeszcze jeden z wymienionych w dzienniku Wacława Flisińskiego, jego „łagrowych" towarzyszy — dawny podchorąży artylerii, Janusz Krajewski).**

## MUZYKA

# JAK W KALEJDOSKOPIE

### Teresa Księska

TYM razem zaroiło się od pomysłów i propozycji jak w porzekadle „od Bacha do Offenbacha"; w praktyce — jeszcze dalej: do „Skrzypka na dachu" Bocka i „Figlarnych skrzypeczków" Klimczuka. Kwietniowe koncerty filharmonii lubelskiej „zdopingowały" wyjątkowo szerokie rzesze odbiorców muzyki, choć były też prawdziwe perły sztuki wykonawczej adresowane głównie do koneserów, ale po kolei.

Czwartego minionego miesiąca wystąpiła osławiona SINFONIA VARSOVIA z dyrygentem Emmanuelem Krivinem i skrzypkiem Augustine Dumayêm. Obecna dyspozycyjność zespołu stawia go bez przesady w ścisłej czołówce światowej. Technika gry, elastyczność, zdolność adaptacji wszelkich „odgórnych bodźców" są tu zdumiewającej, najwyższej miary. Sinfonia wiedzie żywot firmy niezależnej — jest klasą samą dla siebie. Doczekaliśmy!

W tym samym tygodniu, w piątek koncertowali młodzi entuzjaści z Lyonu pod dyrekcją Emila Pannetiera oraz profesjonalne TRIO MA NON TROPPO w składzie: Naoko Corbi — fortepian, Jean Claude Grosjean — skrzypce, Stephen Eliason — wiolonczela. Program z muzyką Bizeta, Chopina, Francka i Ravela przypomniał o międzynarodowej funkcji języka sztuki. Spotkaniu patronowało Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej z przewodniczącą Małgorzatą Villaume i Instytut France — Pologne z prezesem Rogerem Grivelem.

Mistrz Witold Krzemieński i kanadyjski pianista Albert Zak przywieźli do Lublina „Obrazki z wystawy" M. Musorgskiego — M. Ravela i ciekawostkę encyklopedyczną (jak dotąd!) — Koncert fortepianowy E-Dur Maurycego Moszkowskiego.

Pierwsza z wymienionych pozycji stała się okazją do radosnych przeżyć. Filharmonicy grali w największym skupieniu i wolą piękna, solistyczne błyskotki sypały się niczym z rogu obfitości. Imponująco wywiązali się ze swoich zadań: puzonista Edward Cioczek, saksofonista Andrzej Rzymkowski, fagocista Wiesław Kaproń, trębacz Zbigniew Zatorski, także fleciści, perkusiści i corp dórchestre, czyli kwintet smyczkowy. „Pod Krzemieńskim gra się lekko" — tak mówią muzycy. Czy trzeba pytać o sukces?!

Kit muzyczny o wielce zobowiązującym tytule KONCERT FORTEPIANOWY E-DUR Moszkowskiego niestety stracił także swój aspekt poznawczy. Stremowany pianista pogubił wątki i figury — nie było sposobu, by zachować logiczną całość i jakikolwiek sens. Swoją drogą skomplikowana materia utworu Moszkowskiego nie trzyma się ani głowy, ani klawiatury. Cóż, nauczka na przyszłość: szkoda czasu i atłasu.

Katedralna prezentacja VIII SYMFONII h-moll tzw. NIEDOKOŃCZONEJ F. Schuberta i REQUIEM G. Faure pozostawiła dobre wrażenie. Śpiewali: Danuta Damięcka — sopran, Andrzej Hiolski — baryton oraz Chór mieszany Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS przygotowany przez Lucjana Jaworskiego. Grali lubelscy filharmonicy i Corelli Świeca (partia organowa) pod dyrekcją Adama Natanka. Słowem o muzyce program opatrzył Stefan Münch.

Muzyka Schuberta jest tą, która zdaje się przynależeć do innego (lepszego?) świata. Z ciemnych barw, melodycznych znaków zapytania z wolna rodzi się coś, co tylko w przybliżeniu da się określić jako pełnia harmonii. (Także w zakresie ducha i muzycznej materii.) Przypomnijmy słowa Brahmsa: „Jeżeli wszystkie dzieła byłyby tak skończone jak to, wierzcie mi, żylibyśmy w prawdziwym raju muzycznym". (Swoją drogą ciekawe jak mistrz ustosunkowałby się do muzyki współczesnej).

W zestawieniu z VIII Symfonią Schuberta (i nie tylko) REQUIEM Faure, mimo niezaprzeczalnych walorów wykonawczych, zabrzmiało zaledwie milutko i naiwnie. To prawda, że jego autor do najwybitniejszych twórców nie przynależy, niemniej temat sam w sobie powinien głęboko poruszyć. Smaku landrynki nie poprawił także pięknie, jak zwykle, śpiewający Andrzej Hiolski i, w sumie chyba najbardziej udany fragment dzieła, LIBERA ME.

Niedzielny (23) koncert muzyki ukraińskiej pod dyrekcją Josefa Hertera (USA) stanowił uzpełnienie akcji podjętej przez KUL. (Prasa poświęciła temu tematowi wiele uwagi). Właściwie chodziło o szerszą prezentację twórczości mało znanego w Polsce, a w świecie już uznanego, kompozytora rodem z Głuchowa, Dmytro Bortniańskiego (1751—1832). Ukraiński kompozytor studiował pod kierunkiem M. Połtorackiego i B. Galuppiego (w Petersburgu, potem w Wenecji, gdzie przebywał w latach 1769—1779). Jest autorem kilku oper, m.in. ALCIDY wg libretta słynnego Metastasia, także pieśni, sonat klawesynowych, Symfonii koncertującej. Wrażenia? Oddajmy i tym razem głos jednemu z największych swoich czasów, Berliozowi:

„Jego kompozycje świadczą o niebywałym doświadczeniu i zdolnościach w układniu i grupowaniu partii wokalnych, świetne zrozumienie szczegółów. Najbardziej dziwi i zachwyca niesamowita niezależność i odrzucenie »wysoko szanowanych« reguł i zasad porzedników i współczesnych mu twórców — Włochów, chociaż sam był ich uczniem"!

W tygodniu 24—29 kwietnia wystąpiło aż trzech pianistów i to dzień po dniu: Rosjanin — Grigorij Sokołow, Niemiec — Gerald Fauth i Brazylijczyk — Ney Salgado.

Mimo zachwytu licznie zgromadzonej młodzieży, mnie osobiście Sokołow nie wydał się znakomitością. Jest na pewno niebywale sprawny instrumentalnie, ale w swojej pasji grania przypomina bardziej gladiatora niż budowniczego nastrojów. Potężny, na granicy bólu ton, dychawiczne frazowanie to kopia stylu dawnych „lwów" estradowych — Własenki, Pietrowa, Richtera. Ale świat się zmienił. Trzeba posłuchać tego, co i jak gra się w salach koncertowych Rzymu, Wiednia, Hamburga... W Lublinie Grigorij Sokołow wykonał opus 106 Beethovena i Sonatę h-moll Chopina. Kilkakrotnie bisował. De gustibus...

Przeciwieństwem zgoła okazał się program (i wykonanie) Geralda Fautha. 30-letni pianista, laureat I nagrody w ubiegłorocznym Międzynarodowym Konkursie im. J. S. Bacha w Lipsku, zachwycił kulturą i wrażliwością interpretacji. Grał szlachetnej urody dźwiękiem, stylowo, skromnie. W części recitalowej wykonał Fantazję chromatyczną i Fugę BMV 903 Bacha, Fantazję c-moll KV 457 Mozarta i Walca — Mefisto nr 1 Liszta; po przerwie, wraz z lubelskimi filharmonikami pod dyrekcją Adama Natanka — III Koncert fortepianowy c-moll opus 37 L. van Beethovena. Następnego dnia o 10 rano wystąpił w sali koncertowej Szkoły Muzycznej im. K. Lipińskiego, potwierdzając swoją klasę. I wspaniałą dyspozycyjność.

Recitalu Neya Salgado nie słyszałam.

W ostatnią niedzielę miesiąca „zaliczyłam" natomiast program stanowiący kolejną propozycję Henryka Debicha, ale bez udziału Mistrza (absencja chorobowa). Lubelskich filharmoników powiódł Ryszard Komorowski, zaś jako soliści wystąpili: Anna Jeremus — sopran, Bohdan Giergiel — skrzypce, Kazimierz Kowalski — bas (także, zresztą niefortunnie, konferansjerka). Wszystko, co się lubi i co się wzajemnie czubi, w więc utwory J. Straussa obok St. Moniuszki, W. A. Mozarta, G. Verdiego, G. Pucciniego i J. Offenbacha. Także szlagiery The Beatles, Kadanewa, Loeve, Bocka, Klimczuka, uf! Filharmonicy grali poprawnie, choć czasem nazbyt serio. Anna Jeremus pokazała głos i... cóż, niedostatki techniczne (oddech, blokada w podniesionych ramionach). Kazimierz Kowalski nie bardzo mógł się zdecydować, „w co grać" — pozostała „mieszanka" na wzór wołu z karocą. Oj, Panie Kazimierzu, jak Pana kocham, tak się nie robi w mieście Lublinie, tu ludzie naprawdę mają uszy!

Jedynym artystą, który nie wypadł z roli, był Bohdan Giergiel, rasowy skrzypek, człowiek nieustannie kochający (z wzajemnością!) to, co robi.

# Z KSIĘGARNI

**DLA MŁODZIEŻY**

**Eric Knight:** „Lassie, wróć!", Nasza Księgarnia, 500 zł. Piętnaste wydanie popularnej powieści, której akcja toczy się w kraju lat dziecięcych pisarza (urodził się w 1897 r. w Anglii), znanej także z adaptacji filmowej, w którym to obrazie (1942 r.) zadebiutowała 10-letnia Liz Taylor.

**Alfred Szklarski:** „Przygody Tomka na Czarnym Lądzie" (340 zł), „Tomek na wojennej ścieżce" (350 zł), „Tomek w krainie kangurów" (300 zł), Wydawnictwo „Śląsk". Wznowienie.

**Edmund Niziurski:** „Sposób na Alcybiadesa", Czytelnik, 450 zł. Wydanie XV.

**Andrzej Trepka:** „Zwierzęta, zwierzęta...", Nasza Księgarnia, 850 zł. Utrzymana w formie gawędy opowieść o przedstawicielach światowej fauny.

**PROZA**

**Lew Tołstoj:** „Wojna i pokój", PIW, t. I/IV, 3500 zł. Wydanie czternaste.

**Karol Bunsch:** „Dzikowy skarb", Wyd. Literackie, t. I/II, 1600 zł. Pierwsza z cyklu powieści piastowskich Bunscha; wydanie XVI.

**Zofia Nałkowska:** „Opowiadania" Czytelnik, 850 zł.

**Tomasz Mann:** „Buddenbrookowie", Książka i Wiedza, t. I/II, 850 zł. Wydanie XVII.

**Józef Ignacy Kraszewski:** „Królewscy synowie", Wyd. „Śląsk", 850 zł. Powieść z czasów Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego; wydanie IX.

**William Faulkner:** „Światłość w sierpniu", Czytelnik, 1100 zł. Wznowienie.

**Jan Dobraczyński:** „Klucz mądrości", IW PAX, 1400 zł. Powieść, której akcja toczy się pod koniec epoki Królestwa Jerozolimskiego; wydanie XII.

**Stanisława Fleszarowa-Muskat:** „Tak trzymać!", Wydawnictwo Morskie; t. I — 1200 zł, t. II — 1050 zł, t. III — 950 zł. Wznowienie.

**Maria Rodziewiczówna:** „Dewajtis", Wyd. Literackie, 720 zł.

**WSPOMNIENIA, DOKUMENT**

**Adam Ochocki:** „Raz, dwa, wziali", Wydawnictwo TKKŚ, 470 zł. Wspomnienia z ZSRR z lat 1939—1946.

**Zygmunt Jędrzejewski:** „Od września do września", IW PAX, 1100 zł. Wspomnienia żołnierza Września, a potem ZWZ-AK.

**LITERATURA NAUKOWA I POPULARNONAUKOWA**

**Konrad Górski:** „Mickiewicz", PWN, 700 zł. Monografia.

**Marek Sołtysik:** „Świadomość to kamień. Kartki z życia Michała Choromańskiego", Wyd. Poznańskie, 650 zł. Opowieść - esej o życiu i twórczości autora „Zazdrości i medycyny".

**Kazimierz Głaz:** „Gombrowicz w Vence", Wyd. Literackie, 1300 zł. Praca, wsparta wspomnieniami autora, traktująca o biografii i spuściźnie Gombrowicza.

**Ladislaus Boros:** „Spotkać Boga w człowieku", IW PAX, 620 zł. Rozważania nt. chrześcijańskiej egzystencji.

**„Rocznik statystyczny 1988"**, GUS, 560 zł.

**KULINARIA**

**„Kuchnia kazachska"**, PWRiL, 330 zł.

**Wanda Piotrawiakowa:** „Przyrządzane surówki i sałatki", PWE, 400 zł.

**(Powyższy wybór nowości wydawniczych pochodzi z księgarni nr 1 „Domu Książki" przy Krak. Przedm. 68 w Lublinie).**

Z.

# INFORMATOR KULTURALNY

**TEATRY**

W LUBLINIE

Lubelska Wiosna Teatralna dobiega końca. 21—22.05 **(wyjątkowo w LDK ul. Pstrowskiego 12)** Teatr Ochoty w Warszawie przedstawi „Zapiski więzienne Stefana Kardynała Wyszyńskiego". Adaptacja, reżyseria i główna rola — Jan Machulski.

„Mistrza i Małgorzatę" Michaiła Bułhakowa w adaptacji Andrzeja Marii Marczewskiego prezentować będą **(22—24.05 w Teatrze im. J. Osterwy)** aktorzy Teatru Polskiego w Bydgoszczy.

**Teatr im. J. Osterwy:**
21.05 godz. 19, 23—24.05 godz. 16 (scena „Reduta"): „Markiz de Sade"; reż. Konrad Lesisz.

**Teatr Lalki i Aktora:**
23—24.05 godz. 10, 12; „Ural Batyr" baśń baszkirska; reż. Włodzimierz Fełenczak.

**Teatr Muzyczny:**
22.05 godz. 18 (Dom Kultury LSM ul. Wallenroda 4a): „Kotka przemieniona w kobietę", „Salon pana Wzdęckiego" Offenbacha; reż. Lech Emfazy Stefański.

W ŚWIDNIKU

20—21.05 — w ramach Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Amatorskich — Przegląd Małych Form Teatralnych.

W CHEŁMIE

19.05 godz. 17, 20.05 godz. 16 **(WDK)**: „Mistrz i Małgorzata" Michaiła Bułhakowa w wykonaniu aktorów Teatru Polskiego w Bydgoszczy.

**MUZYKA**

W LUBLINIE

**Filharmonia:** 18.05 godz. 19 — koncert recitalowo-symfoniczny. Wykonawcy: orkiestra PFL pod dyrekcją Adama Natanka, José Maria Gallardo del Rey z Hiszpanii (gitara). W programie: utwory S. de Murcia, J. S. Bacha, C. Debussy'ego, M. de Falli, I. Albeniza. W II części koncertu z orkiestrą PFL wystąpi J. Rodrigo w Concierto de Aranjuez.

19.05 godz. 19, 20.05 godz. 18: koncerty dyplomantów Państwowej Szkoły Muzycznej im. K. Lipińskiego w Lublinie z towarzyszeniem orkiestry PFL pod dyrekcją Ryszarda Komorowskiego. Wystąpią: Dorota Szyszkowska (harfa), Dorota Dobosz (fortepian), Jarosław Duda (fortepian), Tomasz Kupiec (kontrabas), Tomasz Romanek (fortepian), Joanna Kurkowicz (skrzypce), Agnieszka Szwajger (harfa), Piotr Wajrak (fortepian), Joanna Cwirko (fortepian), Grzegorz Romanowski (skrzypce), Piotr Rachon (fortepian).

18.05 godz. 19 **(Aula Nowa KUL)** - recital organowy Johannesa Skudlika (RFN) — w programie utwory A. Guilmanta, C. Francka, J. Reubkego.

**WYSTAWY**

W LUBLINIE

**Muzeum Lubelskie** — ogólnopolska wystawa METAFORA'89 — „ziemia".

**Galeria Labirynt 2** (ul. Grodzka 3): 22—24.05 godz. 19 — warsztaty Richarda Martela; 24.05 godz. 18 — otwarcie wystawy Dominga Cisnerosa z Kanady.

**Galeria Sztuki Sceny Plastycznej** (KUL) — wystawa malarstwa Edwarda Dwurnika.

**Galeria „Nova"** (ul. Grodzka 5) — wystawa artystów z Drezna.

**WDK** (ul. Podgrodzie 3): 23.05 — otwarcie wystawy pt. „Medale Lubelszczyzny" ze zbiorów klubów kolekcjonerskich oraz Polskiego Towarzystwa Archeologiczno-Numizmatycznego.

W ramach III LUBELSKIEGO FESTIWALU MALOWANEK „KARUZELA":

— 18.05 godz. 18 **(Dom Kultury SM „Czechów"**, ul. Kiepury 5a): wystawa młodych artystów plastyków (uczestnicy tegorocznego „Art Meeting" w Kazimierzu):

— 19.05 godz. 18 **(Galeria Kont**, ul. Zana 11); 20.05 godz. 18 (ul. Czwartaków 13): wystawa Studenckiego Towarzystwa Fotograficznego;

— 22.05 godz. 16 **(Klub Grześ**, ul. Langiewicza 24): zamknięcie festiwalu.

**Ogłoszenie**

Totolotek 1957—88. Najszczęśliwsze. Opracowanie oferuje: Przedsiębiorstwo Technopol Częstochowa P-747.

4848/K

# TV

## CZWARTEK 18 MAJA

### PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Spróbuj... potrafisz
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Nocna próba" — film prod. węgier.
11.15 Domator: To się może przydać — powtórzenie na życzenie; Malujemy mieszkanie (2)
14.50 Studio sport: Wyścig Pokoju — X etap (Mlada Boleslav — Trutnov)
16.30 Program dnia. Dt — wiadomości
16.35 Dla młodych widzów: Kwant — Superdrużyna oraz film z serii „Życie na ziemi"
17.15 Teleexpress
17.30 Studio wyborcze
18.00 Gdzie maki czerwieńsze od krwi — wojskowy program historyczny
18.25 Sonda: Dach nad głową
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „07 zgłoś się" — „Złocisty" — serial TVP
21.35 Studio wyborcze
21.50 Kronika Wyścigu Pokoju
22.00 Pegaz — magazyn aktualności kulturalnych
22.25 Cafe Central — polsko-austriacki program publicystyki kulturalnej

### PROGRAM II

16.55 Język francuski (29)
17.25 Program dnia
17.30 Świat festynów
18.00 Program lokalny
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Magazyn „102"
19.30 Puls — program medyczny
20.00 Rodzice i dzieci
20.30 Program rozrywkowy
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Teatr Telewizji: Eugene Ionesco „Szaleństwo we dwoje". Reż. Stanisław Mączyński; wyk.: Jerzy Kamas i Marta Lipińska
22.30 Komentarz dnia
22.35 Studio festiwalowe — Łańcut '89

## PIĄTEK 19 MAJA

### PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Kuchnia domowa
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Pusta klatka" — film TVP
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Mieszkać — wszechnica budowlana
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Studio wyborcze
18.00 Studio sport: Wyścig Pokoju — XI etap (jazda na czas w Trutnovie)
18.35 Rok 1939 — demonstracja sił — program dok.
19.00 Dobranoc: Sąsiedzi
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Film fab.
21.55 Studio wyborcze
22.10 Kronika Wyścigu Pokoju.
22.20 Spór o jutro — otwarte studio
ok. 23.20 Dt — echa dnia

### PROGRAM II

16.55 Język angielski (58)
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Magazyn „102"
19.30 Dookoła świata: W Babilonie
20.00 Komedia — spotkanie przyjaciół
20.50 Brawo dla Marka i Michela
21.30 Panorama dnia
21.50 Filmy Johna Hustona: „Skłóceni z życiem" — film prod. USA Wyk.: Clark Gable, Marilyn Monroe, Montgomery Clift i inni.
23.50 Komentarz dnia

## SOBOTA 20 MAJA

### PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Fragglesi" — serial prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.20 Kołobrzeg zaprasza — program rozrywkowy
11.50 Telewizyjny koncert życzeń
12.20 Studio sport: Wyścig Pokoju — XII etap (Trutnov —Praga i zakończenie)
13.40 Telewizyjny Teatr Prozy: Roman Bratny — „Trzech w linii prostej"
14.40 Flesz — program rozrywkowy
15.00 Komedie, komedie, komedie: „Żona dla Australijczyka"
16.30 Losowanie Dużego Lotka
16.40 Ose'89 — przegląd sztuki estradowej
17.15 Studio wyborcze
18.00 Prezydenci: James Garfield
18.35 Butik — magazyn Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: Podróże kapitana Klipera
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Jak zwiedzać zoo
19.30 Dt
20.05 Konkurs Piosenki — Eurowizja'89
23.05 Studio wyborcze
23.20 Kronika Wyścigu Pokoju
23.30 Dt — wiadomości
23.35 Jutro w programie
23.40—1.20 Kino sensacji: „Śmiertelny pocałunek" — film fab. prod. USA

### PROGRAM II

14.40 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
15.05 Powitanie
15.10 Małe kino. Ksary i oazy: „Oblicza Sahary" — film dok. R. Czajkowskiego
15.30 „5 — 10 — 15" — program dla dzieci i młodzieży
17.00 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy" — odc. 3 pt. „Nowa broń szwoleżerów" serial fab. TVP
**18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska**
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Program rozrywkowy
19.30 „Intergrafia" — film Franciszka Kuduka
20.00 Festiwal Muzyki — Łańcut'89: Irina Archipowa
21.00 Wokół górskich schronisk
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chateauvallon" (2) — serial fab. prod. francusko-luksemburskiej
22.40 Komentarz dnia
22.45—23.00 Studio festiwalowe — Łańcut'89

## NIEDZIELA 21 MAJA

### PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz „Kto, ja, panie psorze? (2) — serial prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Wawel gotycki" — film dok. Artura Janickiego
11.20 Kraj za miastem
11.50 Telewizyjny koncert życzeń
12.40 Morze — magazyn publicystyczny
13.00 Teatr Młodego Widza: Witold Oklek — „Helenka"
14.00 Marek Sierocki zaprasza
14.30 Powiększenie — fotomagazyn
14.50 Pieprz i wanilia. Nieznany kraj: Dziwy, nie dziwy...
15.35 „Katarzyna" (8) — serial kostiumowy prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Agromarket
18.20 Stanisław Piętak — wspomnienie o poecie, prozaiku
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Ucieczka z miejsc ukochanych" (1) — serial fab. TVP
21.05 Raport: Siedem dni
21.35 Sportowa niedziela
22.25 „Sławne kobiety i ich czasy" — odc. 4 pt. „Wirginia Woolf" — serial dok. prod. franc.
23.20 Dt — wiadomości
23.25 Jutro w programie

### PROGRAM II

9.25 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
10.00 „Ucieczka z miejsc ukochanych" (1) — serial fab. TVP (dla niesłyszących)
11.00 Żołnierska scena — film dok.
11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 100 pytań do...
13.10 „Polacy" — film dok.
13.55 Kino familijne: „Powrót na Wyspę Skarbów" (5) — serial przyg. prod. ang.
14.50 Podróże w czasie i przestrzeni: „Życie codzienne w starożytnym Egipcie" (4) — serial dok. prod. ang.
15.40 Spotkanie z „Poznańskimi Słowikami" Stefana Stuligrosza
16.10 Być tutaj: Kościółek w Lipnicy — gawęda prof. Wiktora Zina
16.25 Kalejdoskop filmowy „Kino-Oko"
17.00 Studio sport: Wyścigi konne na Służewcu o nagrodę Rulera oraz Wiosenną
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Galeria Dwójki: Antoni Fałat
20.00 Festiwal Muzyki — Łańcut'89: Koncert finałowy (1)
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny" (10) — serial fab. prod. USA
22.55—23.10 Dobranoc tylko dla dorosłych: Żywoty kurtyzan
22.40 Studio festiwalowe — Łańcut'89

## PONIEDZIAŁEK 22 MAJA

### PROGRAM I

16.20 Program dnia. Dt — wiadomości
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Kto w twoim imieniu? Studio wyborcze
18.00 Echa stadionów oraz magazyn żeglarski: Z wiatrem i pod wiatr
18.30 Laboratorium: Niezwykłe światło
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Zając i jeż
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Pavel Landovsky „Pokój na godziny". Reż. Aleksaner Bardini. Wyk.: Henryk Borowski, Zdzisław Mrożewski, Jan Englert, Pola Raksa
21.40 Kto w twoim imieniu? Studio wyborcze
21.55 Z polskiej fonoteki
22.05 Socjalizm tak, ale jaki? Spotkanie z prof. Marianem Orzechowskim
22.20 XXV Festiwal Jazz nad Odrą
22.50 Dt — echa dnia
23.10 Język niemiecki (27)

### PROGRAM II

16.55 Język niemiecki (27)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki" na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna-polszczyzna: Ortograficzne kłopoty
18.00 Program lokalny
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.30 Życie muzyczne: Koncert roku
20.00 Teletrans
20.30 Osądźmy sami
21.15 Zamyślenia — program Halszki Wasilewskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Emil Zola, czyli ludzkie sumienie" (8 — ostatni) — serial prod. franc.
23.05 Studio X Łódzkich Spotkań Baletowych
23.20 Komentarz dnia

## WTOREK 23 MAJA

### PROGRAM I

8.35 Domator: Rady na życzenie; Mieszkanie z pomysłem
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza" (8) — „Wiosna" serial obycz. CSRS
10.50 Domator: Rady na życzenie (urlopy wychowawcze)
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Gazeta rolnicza
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż" (31) — serial animowany prod. austr.
17.15 Teleexpress
17.30 Kto w twoim imieniu? Studio wyborcze
18.00 „Następny proszę" (4) — „Usłyszeć panny morskiej śpiew" — serial prod. ang.
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Dwa małe trzmiele
19.10 Telewizyjny Klub Konsumenta „Stop"
19.30 Dt
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza" (8) — „Wiosna" — serial obycz. prod. CSRS
21.15 Kto w twoim imieniu? Studio wyborcze
21.30 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.45 Zawsze po 21-szej — magazyn reporterów
22.25 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S"
23.05 Dt — echa dnia
23.25 Język angielski (29)

### PROGRAM II

16.55 Język angielski (29)
17.25 Program dnia
17.30 „Szokujące nowości. U progu sztuki współczesnej" (11) — serial dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 „Wojna domowa" (2) — „Bilet za fryzjera" — serial TVP
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny
20.00 Program rozrywkowy
21.00 Powtórka z historii
21.30 Panorama dnia
21.45 „Bartłomiej Farrar" (2) — film fab. prod. ang.
22.35 Studio Solidarność
23.20 Komentarz dnia

## ŚRODA 24 MAJA

### PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Szkoła dla rodziców
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Program dnia. Dt — wiadomości
9.25 „Szalony las" — fab. film obycz. prod. rum.
11.00 Domator: Przyjemne z pożytecznym
16.10 Program dnia. Dt — wiadomości
16.15 Losowanie Express Lotka i Super Lotka
16.25 Dla młodych widzów: Scena TDC
16.50 Dla dzieci: „Wyprawy prof. Ciekawskiego"
17.15 Teleexpress
17.30 Kto w twoim imieniu?
18.00 Lex — zapowiedź programu
18.05 Telewizyjny informator wydawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj. Archiwum XX w.
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Proszę słonia
19.10 Lex: Dziecko też człowiek — magazyn prawniczo-społeczny
19.30 Dt
20.05 Studio sport: Finał Pucharu Europy w piłce nożnej (AC Milan — Steua Bukareszt)
22.05 Kto w twoim imieniu? Studio wyborcze
22.20 Lex — magazyn społeczno-prawny
22.30 Raport
23.00 Dt — echa dnia
23.20 Język rosyjski (30)

### PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (30)
17.25 Program dnia
17.30 Wiem wszystko — teleturniej
**18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska**
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 „Harlem story" (2) — program rozrywkowy TV RFN
19.30 Rewelacja miesiąca: Galowy Koncert gwiazd opery — Madryt'89
21.30 Panorama dnia
21.45 Telewizja nocą
22.30 „W labiryncie" — serial TVP
23.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch", ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 735. 5.05.89. B.-4.

# PO PIERWSZYM KWARTALE

**Michał Zieliński**

NA całym świecie każde szanujące się pismo podaje bieżące informacje gospodarcze: kursy walutowe, stopy procentowe i przede wszystkim kursy akcji. W Polsce nie, bo takie informacje nikomu nie są potrzebne. W Polsce, czytelnikom potrzebna jest tylko jedna informacja, dotycząca comiesięcznych danych o strumieniu dochodów i kształtowaniu cen. Dane te pozwalają przewidywać, czy szanse na kupno czegokolwiek rosną, czy maleją.

Ostatnie notowania są niestety niezbyt dobre. W marcu wzrost dochodów (od niepamiętnego czasu przewyższający wzrost dostaw rynkowych) jeszcze się zwiększył. Łączne dochody mieszkańców PRL wyniosły 2,79 bln zł, podczas gdy wartość wydatków (liczona oczywiście w bieżących, rosnących cenach) tylko 1,78 bln zł. Różnica, czyli bilion z grosikiem, odłożyła się w portfelach i na kontach w postaci (najczęściej przymusowych) oszczędności. Jest to więcej niż w dwóch poprzednich miesiącach w przypadku dochodów (średnia: styczeń — luty wynosiła 2,14 bln zł) i nieco mniej niż w przypadku wydatków (średnio miesięcznie 1,8 bln zł). A zatem zarabiamy więcej, a wydajemy — bo też i nie ma na co — mniej. Co gorsza, w marcu w tym roku była Wielkanoc, a jak wiadomo, święta to zawsze okres wzmożonych zakupów.

Rezultatem zderzenia rosnących dochodów i niezmiennej wartości podaży jest wzrost zasobów pieniężnych. W marcu wzrosły one o 506 mld zł (styczeń—luty średnio 389 mld zł). Nie powinno także dziwić to, że radykalnie zmieniła się struktura przyrostu zasobów. W dwóch pierwszych miesiącach większość z tego, co im pozostało, ludzie nieśli do PKO. Ściślej — w postaci wkładów oszczędnościowych do banków trafiało dwie trzecie przyrostu zasobów pieniężnych, a tylko jedną trzecią przechowywano w gotówce. W marcu proporcje były dokładnie odwrotne. A jeżeli ktoś przy obecnej inflacji trzyma gotówkę — i nie jest numizmatykiem, ach jakie piękne mamy nowe monety dziesięciogroszowe — to niechybanie chce je wydać.

Zmiana reakcji jest łatwa do zrozumienia. Magiczna siła przyciągania największego totolotka świata, jakim była „akcja oszczędnościowa 50 milionów", wygasła. Stopa oprocentowania rocznych depozytów, która wydawała się szokująco wysoka i atrakcyjna, zblakła wobec tempa wzrostu cen. No i, między innymi wskutek wyżej wymienionych czynników, dolar poszedł ostro, bo o jedną trzecią w górę.

Wzrost cen, który niczego na rynku nie zmienia, jest dalej niezwykle wysoki. Przyjmując ceny z grudnia 1988 za sto, w marcu wzrosły one do 128,5. Oznacza to, że zwiększały się miesięcznie średnio o 8,7 proc. Jest to troszeczkę lepiej niż w styczniu (wtedy podskoczyły o ponad dziesięć procent), ale dalej bardzo źle. Po styczniu przepowiadałem, że jeśli to tak dalej pójdzie, ceny w grudniu 1989 roku będą blisko 3,5-krotnie wyższe niż rok wcześniej. Dzisiaj muszę tę prognozę obniżyć. Jeżeli potrwa to tak dalej, ceny będą wyższe tylko 2,7-krotnie.

Najgorsze w tym wszystkim może być to, że przy tak dużym wzroście cen ludzie oczekują na obiecaną indeksację. Tymczasem wstępne przymiarki pokazują, iż żadnej indeksacji nie będzie. W sferze produkcyjnej, a na razie jej tylko dotyczy procedura indeksacyjna, bowiem dochody wzrosły średnio szybciej niż ceny. Nie podaję tutaj konkretnych danych, gdyż protokół porozumienia ekonomicznego z „okrągłego stołu" bardzo nieprecyzyjnie wypowiada się na temat, jak liczyć kwartalny wzrost dochodów (a można na kilka sposobów), więc nie chcę potęgować zamieszania, które i tak na pewno będzie. Przypominam także, że to, iż średnio dochody rosły szybciej niż ceny, nie oznacza, że procedury indeksacyjnej nie będzie, gdyż indeksuje się dochody nie grup czy zakładów, ale konkretnych pracowników (choć tylko wtedy, gdy pozwalają na to możliwości finansowe przedsiębiorstwa). Niemniej jest tak, że przeciętna płaca w sferze produkcji materialnej (bez wypłat z zysku) wzrosła od 66,5 tys. zł w styczniu do 84,1 tys. zł w marcu, a nasze umiłowanie uravniłowki sprawia, że gros płac skoncentrowanych jest wokół średniej. Wobec tego takich nieszczęśników, których płace wzrosły na tyle mniej, iż będą mieć szczęście dostać podwyżkę w ramach indeksacji, może nie być wielu.

Powyższe odnosi się jedynie do zmian płac z tytułu indeksacji i nie wyklucza w maju wzrostu płac z innych źródeł (premie, awanse, przeszeregowania, wysługa itd.). Ze względu na to, że rozbudzone zostały spore oczekiwania społeczne związane z indeksacją, a może się okazać, iż góra urodziła mysz, nie mogę wykluczyć także tzw. „niepokoi społecznych" oraz „presji na wzrost płac". Tego, kiedy dokładnie tak się stanie, wiedzieć nie mogę. Wiem jednak, że jeżeli owa „presja" wystąpi, to następną informację o parametrach rynku będę musiał zacząć od stwierdzenia, że nastąpiło dalsze przyspieszenie tempa wzrostu dochodów, któremu towarzyszył dalszy wzrost cen oraz że znacznie zwiększyły się zasoby pieniężne, przymusowe oszczędności i skala niedoborów rynkowych.

# TAK SIĘ HANDLUJE „RELACJAMI"...

Fot. **Waldemar Stępień**

# KTO JEST KIM W REGIONIE

**GORGOL Zdzisław.** Lat 44. Żonaty. Żona Urszula — lekarz medycyny. Córka Sylwia, lat 16 (II Liceum Ogólnokształcące), syn Dominik (czwarta klasa szkoły podstawowej). Absolwent SGPiS w Warszawie, Wydział Ekonomiki Produkcji. Po studiach zatrudniony w Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Gracja". W latach 1976—82 radny Miejskiej Rady Narodowej, 1981—86 wiceprezydent Lublina. Od 1985 roku społeczny przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu SD, od 1986 — przewodniczący etatowy. Członek Stronnictwa Demokratycznego od 1969 roku.

Sposób na życie: rekreacja w gronie rodziny, kultywowanie hobby (muzyka). Dzieci wychowuje w duchu patriotycznym, ze szczególnym uwzględnieniem demokratycznych przejawów życia. Ceni indywidualną przedsiębiorczość.

**KŁOCZOWSKI Jerzy.** Lat 65. Żonaty. Żona Krystyna. Pięcioro dzieci: trzech synów i dwie córki. Były żołnierz Armii Krajowej, uczestnik Powstania Warszawskiego. Odznaczony krzyżem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych. Studia historyczne na uniwersytetach w Poznaniu i Toruniu. Doktorat (1950). Profesor zwyczajny nauk historycznych. Pracownik KUL. W latach 1985—87 profesor Sorbony. Przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" w Lublinie.

Podstawowych warunkiem wszystkiego są dwa miesiące w roku spędzone z dala od cywilizacji, najchętniej w zapadłej polskiej wsi.

**ORŁOWSKA Małgorzata.** Lat 30. Mężatka. Mąż Tomasz — dziennikarz. Dwoje dzieci: Dorota (lat 6) i Bartek (lat 3). Absolwentka Instytutu Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego, na którym również studiowała dziennikarstwo. W trakcie studiów współpracowała z redakcją „Aktualności" III programu PR, a od września 1986 podjęła pracę w Rozgłośni Polskiego Radia w Lublinie. Prezenterka telewizyjnej „Panoramy Lubelskiej".

Za szczególnie istotne uważa ciągłe podtrzymywanie aktywności poznawczej. Jest zwolenniczką wierności poglądom, możliwie rzadkiego chodzenia na kompromisy z samym sobą i z otoczeniem. Za doskonałe uważałaby życie, gdzie nic nie odbywałoby się kosztem czegoś; dotyczy to zwłaszcza pracy i rodziny. W zawodzie, który wykonuje, jest to cel trudny do osiągnięcia.

**WDOWIAK Marianna Alina.** Lat 60. Absolwentka Wydziału Pedagogiki Specjalnej Uniwersytetu Warszawskiego. W 1952 roku podjęła pracę jako nauczycielka w Technikum Przemysłu Odzieżowego w Lublinie. W latach 1952—56 działaczka Związku Młodzieży Polskiej. 1957—65 komendant Chorągwi ZHP w Lublinie. Od 1965 roku sekretarz propagandy KM PZPR. Od 1972 — dyrektor IX Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika. Od 1985 — dyrektor Centrum Kształcenia Ustawicznego, skupiającego trzy licea: VII LO i dwa dla dorosłych.

Swój życiorys określa jako twardy. Kocha swoją pracę: im trudniej, tym lepiej; im więcej pracy, tym większa satysfakcja. Pasjonuje się lekturą. Każda książka wymusza u człowieka osobiste przemyślenia. Nie wyobraża sobie dyrektora szkoły, który nie znałby dobrze szkolnych lektur.

## W numerze 19. opublikujemy:

● EMIGRANCI O SOBIE ● PRZED WYBORAMI ● CO MOWIĄ W BRZEŚCIU? ● SPRZEDANI LUDZIE ● BYŁEM SPEKULANTEM ● ZAPISKI CHŁOPO-REPORTERA ● PIENIĄDZE SZCZĘŚCIA NIE DAJĄ ● MATURZYŚCI ROKU 1939 ● PAMIĘTNIK Z ŁAGRÓW.